ROK III

NUMER 4—6
LIPIEC—PAŹDZIERNIK

1948

DZIECI I WYCHOWAWCA

MIESIĘCZNIK

NR 4-6 LIPIEC — PAŹDZIERNIK 1948

DZIECI I WYCHOWAWCA

MIESIĘCZNIK MINISTERSTWA OŚWIATY

poświęcony zagadnieniom metodyki wychowania zbiorowego

SKŁAD GŁÓWNY: P Z W S

OD REDAKCJI

W związku z Miesiącem Pogłębienia Przyjaźni Polsko-Radzieckiej w numerze niniejszym znajdą Czytelnicy przegląd wypowiedzi na temat wychowania oraz doświadczenia terenowe z pracy opiekuńczo-wychowawczej w ZSRR. Materiały te będą kontynuowane w następnym numerze DZIECI I WYCHOWAWCY.

A. S. Makarenko

METODYKA ORGANIZACJI PROCESU WYCHOWANIA

Część I

Istotnym bodźcem w życiu ludzkim jest radość dnia jutrzejszego. W praktyce pedagogicznej owa radość dnia jutrzejszego stanowi jedną z najważniejszych dziedzin pracy. Najpierw należy stworzyć samą radość, powołać ją do życia i pokazać ją jako rzecz realną. Po wtóre należy przetwarzać bardziej proste rodzaje radości w złożone i dla człowieka ważniejsze. Tu widzimy interesującą linię od najprostszego, prymitywnego zadowolenia do najgłębszego poczucia obowiązku.

Zazwyczaj najbardziej cenimy w człowieku jego siłę i piękno. I pierwsze, i drugie ocenia się na podstawie typu ustosunkowania się człowieka do perspektywy. Człowiek, który powoduje się w swym postępowaniu najbliższą perspektywą, jest człowiekiem najsłabszym. Jeśli ktoś zadowala się tylko swoją własną perspektywą, chociażby i daleką — wydaje się silnym, ale nie budzi w nas poczucia zachwytu dla pięknej, pełnowartościowej jednostki. Człowiek jest tym piękniejszy i wartościowszy, im szersza jest zbiorowość, której perspektywy stały się jego perspektywami osobistymi.

Wychować człowieka znaczy wychować w nim perspektywiczne drogi. Metodyka tej pracy wyraża się w organizacji nowych perspektyw, w wykorzystywaniu już istniejących, w stopniowym wysuwaniu cenniejszych. Zacząć można i od dobrego obiadu, od pójścia do cyrku, ale należy zawsze budzić w człowieku perspektywy całej zbiorowości i stopniowo je rozszerzać, prowadząc je do perspektyw całego Związku (tj. Związku Rad — przyp. tłumacza).

Niepowodzenia wielu zakładów, domów dziecka i kolonii zależą od słabej i niejasnej perspektywy. Nawet dobrze wyposażone zakłady dziecięce nie osiągną dobrej pracy i dyscypliny, jeśli nie potrafią przeprowadzić wyżej wspomnianego założenia.

Bliska perspektywa. W zbiorowości dziecięcej, składającej się z jednostek niezdolnych do nakreślenia sobie dalekich dążeń i zainteresowań, jutrzejszy dzień powinien koniecznie zdawać się lepszy od dnia dzisiejszego. Im starszy jest wychowanek, tym dalej odsuwa się krawędź bliskiej optymistycznej perspektywy. Dla młodzieńca 15-16-letniego bliska perspektywa nie ma już tak wiel-

kiego znaczenia, jakie ma dla podrostków 12-13-letnich. Dorośli ludzie posiadają prawie wyłącznie daleką perspektywę, której granica zależna jest od uświadomienia i rozwoju politycznego danej osoby.

Jednym z najistotniejszych zadań w rozwoju procesu wychowania jest przejście od bliższych do dalszych przyjemności.

Ale to zadanie w oderwaniu od innych dziedzin perspektywy nie jest zasadnicze. Jeśli na tym poprzestaniemy, to pedagogika nasza nie będzie odróżniała się niczym od pedagogiki burżuazyjnej. Nasza praca w dziedzinie perspektywy sprowadza się jeszcze i do tego, że my ciągle powinniśmy wychowywać zbiorowe linie dążeń, a nie tylko osobiste. Człowiek, w którym zbiorowa perspektywa przeważa nad osobistą, staje się już typem sowieckiego człowieka.

W końcu nasze trzecie zadanie polega na zharmonizowaniu osobistych i zbiorowych linii perspektywicznych w tym celu, ażeby nasz wychowanek nie odniósł żadnego wrażenia sprzeczności między nimi.

Praca ta ma poważne znaczenie właśnie dzięki temu, że jest skomplikowana i stanowi najważniejszą dziedzinę wychowania. Organizacja bliskiej perspektywy powinna zacząć się od linii osobistych. Pierwsze stadium tej pracy jest konieczne w każdej normalnie pracującej instytucji.

Dobrze urządzone mieszkania, klasy szkolne, ciepłe sale, zadowalający pokarm, czysta pościel, całkowita obrona młodszych dzieci przed psotami i figlami starszych, uprzejmość i prostota w obejściu stanowią ową niezbędną minimalną perspektywę, bez której w ogóle trudno wyobrazić sobie prawidłową pracę wychowawczą.

Jednak powinniśmy się liczyć z tym faktem, że bywają dzieci o wyrobionych już nawykach do bliskich perspektyw innego typu, np. chęć pokazania swojej siły nad słabszymi towarzyszami, objawy egoizmu, skłonności do kradzieży. Wszystkie te dążenia leżą na linii bliskiej perspektywy, ale perspektywy złego charakteru. Takich dzieci unormowane życie zakładu nie pociąga w takim stopniu, ażeby będące już przyzwyczajeniem złe dążenia mogły być łatwo zapomniane nawet w najbardziej kulturalnych warunkach materialnych.

Dlatego w młodym społeczeństwie może zawsze toczyć się walka między starymi i nowymi liniami perspektywicznymi. Należy więc wtedy zwrócić największą uwagę na sprawę organizacji bliskiej perspektywy. Kino, koncerty, wieczory, prace kółek

świetlicowych, wieczory deklamacji, samorodna twórczość, przechadzki i wycieczki powinny stanowić prymitywne typy „przyjemnego“ spędzania czasu.

Byłoby jednak wielkim błędem budować bliską perspektywę tylko na podstawie przyjemności, nawet jeśli w niej są już elementy pożyteczne, albowiem w ten sposób przyuczamy dzieci do zupełnie niedopuszczalnego epikureizmu.

Już od pierwszych dni powinniśmy budować perspektywę według planu zbiorowego. Dzieci odznaczają się przede wszystkim aktywnością, a jednocześnie samolubstwem, dążeniem do wydzielenia się z masy, dążeniem do utrzymania przewagi. Należy opierać się na tych dynamicznych cechach charakteru i skierowywać zainteresowania wychowanków w stronę bardziej wartościowych pragnień.

Perspektywiczne linie posiadają ciekawą właściwość. Przyciągają one uwagę człowieka dzięki przyjemności, ale przyjemności jeszcze nie istniejącej. W miarę dążenia do niej wynikają nowe, jutrzejsze plany, tym bardziej przyciągające, im więcej wysiłku włożono w przezwyciężenie różnych przeszkód.

Należy dać dzieciom możliwość właśnie takich przyjemności, które wymagają pewnego zastosowania pracy. Jeśli na dworze jest błoto, naturalne jest wysunięcie propozycji, ażeby stworzyć bardzo prymitywną dróżkę i wtedy będzie przyjemnie przejść po podwórzu. Ale kiedy zaczyna się praca nad przeprowadzeniem prymitywnej dróżki, wynika nowa idea przeprowadzenia dróżki doskonalszej. Zaczyna się skomplikowana praca, która wymaga wielkiego wysiłku. Całe grupy dzieci wciągają się w tę pracę, która zajmuje kilka dni. Wychowawca może wtedy śledzić, w jaki sposób początkowa prosta perspektywa ułożenia wygodnej dróżki zamienia się w bardziej cenną perspektywę wypełnienia zamierzonej pracy jak najlepiej.

Jeśli dzieciom zaproponować urządzenie ślizgawki, to one z zapałem wezmą się do pracy, zaabsorbowane bardzo prostą perspektywą rozrywki. Ale w procesie pracy, kiedy wynikną poszczególne ciekawe zadania: ogrzewalnia, ławeczki, oświetlenie itd. — perspektywę przyjemności zastąpi cenniejszy rodzaj pragnienia: pragnienie sukcesu w pracy. Tak będzie przy realizowaniu wszystkich perspektyw. W procesie pracy wynikają dodatkowe linie bliskiej perspektywy: organizacyjne pomysły, wysiłki kierownika. Kiedy zbiorowość zżyje się do stopnia zgodnej rodziny, wtedy już sam rodzaj wspólnej pracy pociąga jako przyjemna bliska perspektywa.

Kierownictwo zakładu dziecięcego powinno zawsze pamiętać o stworzeniu takiej bliskiej perspektywy, tj. ogólnego dążenia do jutrzejszego dnia napełnionego wspólnym wysiłkiem i wspólnym sukcesem.

Z taką samą dokładnością należy układać linie perspektywiczne w szkole i w świetlicy. Wychowanek, który odrobił lekcje, budzi się zawsze z dobrą perspektywą. Oto dlaczego tak ważną sprawą jest pomoc w przygotowywaniu lekcji. Z podobną radosną myślą o dniu jutrzejszym żyje i członek kółka dramatycznego biorący udział w sztuce, i członek kolegium redakcyjnego, jeśli się udała gazetka.

Życie zbiorowości powinno być napełnione radością w takim właśnie pojęciu, aby ona nie była radością wypływającą z prostej rozrywki czy lekko osiągalnej przyjemności, lecz była radością wysiłków w pracy i sukcesów dnia jutrzejszego.

Pracę nad organizacją bliskiej perspektywy należy prowadzić systematycznie w najróżnorodniejszych formach. Praca ta jest bardzo łatwa i ciekawa i nie jest żadną sztuką. Wystarczy np. ogłosić, że za dwa tygodnie odbędzie się mecz footbalowy między drużyną danego zakładu i jakąś sąsiednią drużyną, ażeby wśród młodzieży wzrósł optymizm w związku z perspektywą przyszłych przeżyć.

Samo przez się zrozumiałe, że gra perspektywicznych linii wtedy będzie realna, gdy faktycznie zatroszczycie się o to, by uczynić życie wychowanków radosnym, jeśli nie będziecie oszukiwali młodzieży pokazując jej radosne perspektywy, które później okażą się nieistotnymi. Wszelaka radość, nawet niewielka, której oczekuje młodzież, wzmacnia ją, czyni ją bardziej zespoloną i rześką. Czasami należy postawić przed nią ciężkie, odpowiedzialne zadanie, a czasami należy dać jej prostą rozrywkę dziecięcą: na obiad będą lody.

Przez **średnią perspektywę** rozumiemy zaprojektowanie jakiegoś wypadku w życiu zbiorowości odległego w czasie. Taka perspektywa jest koniecznie potrzebna. Nawet dorosły człowiek posiada zawsze w pewnej perspektywie bardziej albo mniej przyjemne zdarzenia: urlop, wyjazd do uzdrowiska, pogłębienie wiadomości itd. Dzieciom są one jeszcze w większym stopniu potrzebne. Takich wypadków nie powinno być bardzo wiele. W październiku 1935 r. w komunie im. Dzierżyńskiego było powiedziane: „Wy jesteście jednym z lepszych zakładów — pierwszego maja 1936 komuna wyjedzie do Kijowa, weźmie udział w ogólnomiejskim pochodzie i złoży raport naszemu rządowi".

W ciągu następnego półrocza kierownictwo komuny nie pozwalało zapomnieć o perspektywie uroczystości.

Pierwszy maja 1936 r. wyrósł przed młodzieżą jako wielkie, radosne święto, wszyscy przygotowywali się do tego święta od bardzo dawna, to święto miał przed oczyma każdy z komunardów.

Myśmy rozumieli, że ten pierwszomajowy obchód tylko w tym wypadku będzie wychowawczo korzystny, kiedy będzie oczekiwany w ciągu całej zimy, podczas każdego dnia pracy młodzieży, potęgując i upiększając wszelką bliską perspektywę.

Na linii średniej perspektywy mogą być ułożone: udział w obchodach świątecznych, ogólnonarodowych i ogólnonarodowych akcjach, święta rewolucyjne, rocznice założenia zakładu dziecięcego i daty jubileuszowe patrona, którego imię przyjął zakład, początek i koniec roku szkolnego, zdobycie przez zakład pierwszego miejsca we współzawodnictwie, ferie letnie itd.

Tylko w tym wypadku średnia perspektywa będzie miała znaczenie, jeśli przygotowania do tych dni zaczną się dość wcześnie, jeśli nada się im szczególne znaczenie, jeśli do ich zasadniczej treści dołączą się najróżnorodniejsze tematy: sprawozdania, podejmowanie gości, premiowanie, nowe budynki, inwentarz.

Przygotowanie do takiego dnia (a takich nie powinno być więcej niż 2—3 w roku) powinno się przejawić na początku w formie wspólnej koncepcji, w pogadankach, rozważaniach. Zawczasu należy przystąpić do wyboru różnych komisji, do których wciągnąć trzeba możliwie większą ilość wychowanków. Te komisje powinny często składać sprawozdania na ogólnych zebraniach. Pożyteczne byłoby, gdyby na temat, jak należy przeprowadzić dane święto, wysunięto dwa projekty i cała młodzież zajęła się rozstrzygnięciem kwestii, który z tych projektów jest lepszy.

Szczególnie przyjemnym i długo oczekiwanym wypadkiem powinny stać się ferie letnie. Powinny one być rozpatrywane nie tylko jako czas odpoczynku, ale właśnie jako perspektywiczny punkt w przyszłości.

Letnie ferie powinny odpowiadać zasługom młodzieży i rozwojowi zakładu, organizacji bytu i pracy kulturalnej. Im lepsze są wyniki pracy młodzieży, im dalej ona poszła w swym rozwoju, tym bardziej cenny odpoczynek otrzyma. Każda społeczność powinna dążyć do tego, ażeby zasługi jej były wspólnym dziełem wszystkich członków, żeby były na tyle pokaźne, by społeczność w całości mogła zasłużyć na lepsze warunki odpoczynku. Doskonałą formą wypoczynku dla młodzieży jest obóz nad rzeką czy jeziorem.

Daleka perspektywa. Niezależnie od tego, że każdy wychowanek przebywa w zakładzie czasowo i wcześniej czy później odejdzie z zakładu — przyszłość zakładu, wzbogacenie kulturalnego życia, zawsze powinny stać przed młodzieżą jako poważny i doniosły cel oświecający wiele szczegółów życia dzisiejszego.

Doświadczenie wykazało, że jeśli w zakładzie młodzież czuje się dobrze, to nie odnosi się obojętnie do przyszłości swego zakładu.

Ta daleka perspektywa może pociągnąć młodzież do wielkich prac i wysiłków, może rzeczywiście stanowić dla niej radosną perspektywę. Uwarunkowane to jest naturalnym instynktem każdego wychowanka jako członka rodziny.

Młodzież w zakładzie wychowawczym stanowi rozszerzoną rodzinę i dla żadnego członka tego społeczeństwa przyszły los zakładu nigdy nie może być obojętny. W szczególności ma to wielkie znaczenie, jeśli zakład nie zrywa ze swoimi byłymi wychowankami, jeśli prowadzi z nimi korespondencję i gości ich podczas urlopów.

Wychowanie dalekiej perspektywy stanowi bardzo ważny etap w dziele szerokiego wychowania politycznego, albowiem służy ono za naturalne przejście do szerszej perspektywy — przyszłości naszego Związku Rad.

Przyszłość Związku Radzieckiego, jego rozwój jest najwyższym stopniem w organizacji perspektywicznych linii. Należy nie tylko wiedzieć o tej przyszłości, nie tylko mówić i czytać o niej, ale całym sercem przeżywać rozwój naszej ojczyzny, jej pracy, jej sukcesów i niebezpieczeństw. Wychowankowie zakładu powinni znać swych przyjaciół i wrogów. Powinni oni wyobrażać sobie swoją przyszłość jako część przyszłości całego naszego społeczeństwa.

Dla rozwoju tej perspektywy za mało jest poznać Związek Radziecki i jego rozwój. Należy na każdym kroku pokazywać wychowankom, że ich praca i życie jest cząstką pracy i życia ojczyzny. Należy im nie tylko ukazywać — przez naukę — bohaterskie i sławne dni sowieckie, ale i wiązać z nimi — przez przeżycia emocjonalne — doświadczenie, pracę i wysiłek.

Bardzo ważne jest wyświetlanie dzieciom rewolucyjnych filmów, prowadzenie z nimi pogawędek o ważniejszych wypadkach w Związku, porównywanie tych wypadków z wypadkami w zakładzie, podejmowanie w zespole i prowadzenie rozmów z odznaczonymi ludźmi Związku, prowadzenie korespondencji z poszczególnymi ludźmi, prowadzenie korespondencji z innymi zespołami.

Na tle takiej szerokiej perspektywy sowieckiej można zawsze łatwo i wygodnie ukazać osobiste perspektywy dalekiego typu poszczególnych wychowanków.

Tłumaczenie z rosyjskiego

O WYCHOWANIU DZIECI

„Nie wiem, dlaczego kocham tak dzieci, jak nikogo więcej... Nigdy nie potrafiłbym w takim stopniu pokochać kobiety, jak dzieci, i sądzę, że własnych nie pokochałbym bardziej niż cudze.

Często, często zdaje mi się, że nawet matka nie kocha ich tak gorąco, jak ja“.

* * *

Chcę rzucić jakąś część moich własnych sił, a głównie sił WCzK (Wszechzwiązkowa Nadzwyczajna Komisja do Walki z Kontrrewolucją) do walki z bezdomnością dzieci... Doszedłem do tego wniosku biorąc pod uwagę dwa względy. Przede wszystkim jest to straszna klęska. Wszak kiedy spoglądasz na dzieci, to nie możesz nie pomyśleć: wszystko dla nich. Owoce rewolucji należą się im, a nie nam. A między innymi, ilu z nich okaleczyła walka i nędza! Należy w tym wypadku po prostu rzucić się na pomoc tak, jakbyśmy widzieli tonące dzieci. Jeden Ludowy Komisariat Oświaty nie sprosta zadaniu. Potrzebna jest szeroka pomoc całego społeczeństwa radzieckiego. Należy stworzyć przy WCzK wielką komisję złożoną ze wszystkich resortów i wszystkich organizacji, które mogą być pożyteczne w tej sprawie. Już mówiłem z niektórymi ludźmi, chciałbym sam stanąć na czele tej komisji i chcę faktycznie włączyć aparat WCzK do tej pracy.

* * *

Z listów

„Jak zdrowie twoich chłopców? Pocałuj ich ode mnie i powiedz Rudolfowi, że dzięki nam czeka go lepszy los, że on będzie mógł bardziej swobodnie oddychać, jeśli zechce pomagać w tym, ażeby ludzkość nie była bydłem, ażeby jeden nie uciskał drugiego i nie żył na rachunek drugiego, żeby zniszczyć sprzedajność sumienia i tę ciemnotę, która otacza człowieka — wtedy on nie będzie musiał ukrywać się ze swą pracą jak zbój, albowiem nikt nie będzie go prześladował. Jeśli to wszystko nie znajdzie oddźwięku w jego duszy, jeśli on żyć będzie wyłącznie dla siebie i będzie dbał o swoje dobro — wtedy gore mu... Nie gniewaj się na mnie za moją wiarę, nie gniewaj się za to, że życzę mu tego, co uważam za najwyższe dobrodziejstwo, co dla mnie jest święte“.

(Z listu do siostry Aldony ze zsyłki 1 marca 1909 r.)

„I kiedy myślę o naszym malcu, o Jaśku, zalewa mnie fala szczęścia. Lecz jednocześnie dręczy mnie myśl, że cały ciężar wychowania leży na jednej Tobie, tyle czasu Ci zabiera, prawie całą Ciebie pożera wtedy, kiedy Tobie pomóc nie mogę.

...Nie cieplarnianym kwiatkiem powinien być nasz Jaś. On powinien władać pełną dialektyką uczuć, ażeby w życiu być zdolnym do walki w imię prawdy, w imię idei. On w duszy powinien posiadać świątynię bardziej rozległą, bardziej silną aniżeli święte uczucie do matki albo ukochanych, bliskich, drogich ludzi. On powinien być w stanie pokochać ideę — to, co zjednoczy go z masami; to będzie światłem przewodnim w jego życiu. On powinien zrozumieć, że zarówno Ty, jak wszyscy otaczający go, do których on się przywiązał, posiadają świątynię bardziej umiłowaną, większą niż miłość do dziecka.

To święte uczucie jest silniejsze od wszystkich innych uczuć, silniejsze dzięki swemu moralnemu nakazowi „Tak należy żyć, takim powinieneś być". Świadomości tego długu nie wolno zaszczepiać działając tylko na rozum.

...Pamiętam wieczory w naszej maleńkiej zagrodzie, kiedy matka przy świetle lampowym opowiadała, a za oknem szumiał las, jak ona opowiadała o prześladowaniach unitów... Pamiętam jej opowiadania o tym, jakie kontrybucje nakładano na ludność, jak prześladowano ludzi, jak ich dobijano podatkami itd., itp. I to było decydującym momentem. To zadecydowało o tym, że ja w końcu poszedłem po takiej drodze, na jaką wstąpiłem, że każdy gwałt, o którym się dowiadywałem, stał się jakby gwałtem nade mną samym. I wtedy to ja z garstką innych rówieśników zaprzysiągłem (w r. 1894) walczyć z tym złem do ostatniego tchu. I już wtedy serce moje i mózg mój odczuły wszelką niesprawiedliwość, wszelką krzywdę, której ludzie doznają, i znienawidziłem zło. Ale musiałem stąpać po omacku, bez kierownictwa, bez wskazówek od kogokolwiek bądź i moje serce, i rozum przebijały się do tej mojej świątyni, wiele tracąc i gubiąc. Ale Jasiek ma Ciebie i nas wszystkich. On nie pójdzie po omacku i on posiądzie swą świątynię jako spadek po nas.

Ale jednego serca też za mało. Konieczne są specjalne bodźce, które dadzą mu możliwość uświadomienia sobie tego dziedzictwa i przejęcia go. Te warunki są silniejsze niż serce. Tylko w środowisku wyzyskiwanych nie ma rozdźwięku między młodszym i własnym pokoleniem. I tylko w tym środowisku rośnie, krzepnie i upowszechnia się jak niepokonana siła nasza idea, bez zakłamania, bez sprzeczności między słowem i czynem. I dlatego często wracam

do tej myśli, że kiedy Jasiek będzie w odpowiednim wieku, dla niego środowisko o takich cechach byłoby ponad wszystko korzystne.

...Posiąść wewnętrzną świadomość konieczności pójścia na śmierć dla życia, pójścia do więzienia dla wolności, posiąść siłę, aby przeżyć z otwartymi oczyma całe piekło życia, czując w swej duszy wzniesiony ponad wszystko, zaczerpnięty z życia, wielki hymn piękna, prawdy i szczęścia.

I kiedy Ty piszesz do mnie, że Jasiek zachwyca się zieloną rośliną, śpiewem ptaków, żyjącymi istotami, widzę, że on posiada dane ku temu, ażeby w przyszłości wznieść gmach tego wielkiego hymnu, jeśli warunki życia połączą to poczucie piękna ze świadomością dążenia do tego, ażeby stało się ono tak piękne i wspaniałe".

(Z listu do żony, S. S. Dzierżyńskiej — I pawilon Cytadeli Warszawskiej — 24. VI. 1914 r.)

„...One są tak miłe, jak w ogóle dzieci; one są niewinne, gdy popełniają dobro lub zło; one czynią tak, jak tego pragną, jak wolą, jak czują — one jeszcze nie posiadają fałszu. Rózga, srogość i ślepa dyscyplina — to przeklęte dla nich nauczycielki. Rózga i srogość uczą ich dwulicowości i fałszu, uczą czuć i chcieć jedno, a mówić i robić co innego z powodu strachu. Rózga może im tylko uczynić ból i jeśli one są miękkie, jeśli ból ten zmusi je do innego postępowania, niż one pragną, to ta rózga zamieni je z czasem w niewolnicze dusze, legnie na nie jak ciężki kamień, który wiecznie będzie uciskać i uczyni z nich ludzi bezdusznych, kupczyków swego sumienia, którzy żadnego cierpienia znieść nie będą mogli. I przyszłe życie, które pełne będzie bardziej ciężkich cierpień aniżeli ból od rózgi, stanie się nieuchronnie ciągłą walką sumienia i cierpień życiowych, a sumienie będzie zmuszone podporządkować się".

„...Rodzice i wychowawcy rozwijając u swych dzieci sumienie, ucząc je, jak one powinny żyć, co jest dobre, a co złe, nie pielęgnują wraz z tym i nie rozwijają w nich duchowej siły niezbędnej dla dobrych uczynków; biją je rózgami albo dają klapsa, krzyczą na nie, karzą na różne sposoby; w ten sposób osłabiają siłę tych przyszłych ludzi i sami przeszkadzają w wychowaniu sumienia u swych dzieci. Rózga, srogość i kara nigdy nie mogą w pożądany sposób wpłynąć na serce i sumienie, albowiem w umysłach dzieci one na zawsze zostaną przemocą bardziej silnego i zaszczepią albo upór nawet wtedy, gdy dziecko uświadomi sobie, że źle postąpiło, albo zabójczą tchórzliwość i fałsz. Ani jedna kara po-

chodząca z zewnątrz nigdy nikogo nie może poprawić, a tylko skaleczyć. Przykładem być mogą więzienia dla starszych, które nie poprawiają, lecz tylko męczą, psują i oddzielają ludzi od społeczeństwa. Poprawić może tylko taki środek, który zmusi winowajcę do uświadomienia sobie, że postąpił źle, że należy żyć i postępować inaczej. Wtedy starać się będzie, by więcej nie czynić źle. Rózga zaś działa na krótki okres czasu; kiedy dzieci podrosną i nie boją się jej, razem z nią znika i sumienie, a dzieci stają się zepsute, stają się kłamcami, których pierwszy lepszy zepchnie na drogę zepsucia, rozkładu, albowiem rózgi — kary fizycznej, one bać się nie będą, a ich sumienie będzie milczeć. Rózga i kara dla dziecka — to przekleństwo dla ludzkości. Zastraszaniem można wypielęgnować w dziecku tylko podłość, zepsucie, zakłamanie, podłe tchórzostwo i karierowiczostwo. Zastraszanie nie nauczy odróżniać dobra od zła, albowiem dziś zło jest silniejsze od dobra, albowiem tylko zło ma siłę zastraszania, a więc ten, kto boi się bólu, podda się zawsze złu.

Aldono, ty pamiętasz mój szalony upór, kiedy byłem dzieckiem? Tylko dzięki temu uporowi i dzięki temu, że mnie nie bili, mam dzisiaj siłę walczyć ze złem, nie bacząc na nic. Nie karzcie i nie bijcie swoich dzieci, niech zbawi was od tego wasza miłość do nich i myśl o tym, że chociaż z rózgą mniej macie trosk przy wychowywaniu ich, za to, gdy podrosną, nie doczekacie się od nich radości miłości, gdyż swoimi karami i surowością okaleczycie ich dusze. Nie wolno ich ani razu uderzyć, albowiem i rozum, i serce dziecka są tak wrażliwe i pojętne, że nawet błaha drobnostka zostawia swój ślad. I jeśli kiedykolwiek się zdarzy, że ty z powodu zdenerwowania, nad którym nie zdołasz zapanować, ukarzesz albo podrażniona, krzykniesz, uderzysz — to koniecznie przeproś je, przytul i daj odczuć ich serduszkom twoją macierzyńską miłość do nich, zagrzej je sama, pociesz je w ich bólu i wstydzie, ażeby zatrzeć ślady twego rozdrażnienia, tak zabójczego dla nich. Albowiem sama matka wychowuje dusze swych maleńkich dzieci, a nie na odwrót. Więc pamiętaj, że one nie mogą pojąć ciebie, albowiem to są dzieci, więc złościć się przy nich nie wolno. Ja sam pamiętam, jak mama mnie raz uderzyła, gdy była strasznie zmęczona troską o nas wszystkich, leżącą wyłącznie na niej, i gdy była zajęta gospodarstwem; ani ciebie, ani Stasi, ani Jadwisi nie było (wy byłyście już wtedy, zdaje się, w Wilnie, chociaż dobrze tego nie pamiętam), ja tam nabroiłem i dostało mi się od zdenerwowanej mamy; zacząłem krzyczeć na cały głos i płakać ze złości, a kiedy już łez nie starczyło, wlazłem pod etażerkę z kwiatami i póki się nie ściemniło — stamtąd nie wylazłem; dobrze pamiętam: mama

mnie tam znalazła, silnie przycisnęła do siebie i pocałowała tak gorąco i serdecznie, że się znowu rozpłakałem, ale to były łzy ciche, przyjemne, łzy nie ze złości, jak wcześniej, ale ze szczęścia, radości i ukojenia.

Chłopiec widząc, czując miłość rodziców do siebie postara się być posłusznym, ażeby ich nie zmartwić, i jeśli zawini z powodu swej ruchliwości, swej żywości dziecięcej, to sam będzie żałował swego postępku, a kiedy z wiekiem jego siła woli okrzepnie, kiedy nauczy się lepiej sobą władać, wtedy jego własne sumienie będzie jego władcą, a nie złe środowisko, zewnętrzne warunki itd., co zazwyczaj wiedzie do moralnego upadku. Dziecko odczuwa nieszczęście tego, kogo lubi, na jego młodą duszę wpływa najmniejsza rzecz, zdawałoby się, drobnostka, dlatego należy wystrzegać się przy dzieciach zdenerwowania, kłótni, przekleństw, plotkowania i co najgorsze, postępowania na przekór swoim słowom; dziecko to wszystko spostrzeże, a jeśli nawet nie zapamięta, to w jego duszy zostanie ślad i z tych wrażeń dzieciństwa uformuje się fundament jego duszy, sumienia i siły moralnej. Siłę woli należy także wychować. Rozpieszczone i wydelikacone dzieci, których wszelkie zachcianki rodzice wypełniają — wyrastają na zdeprawowanych, słabowolnych egoistów...

Ogromne zadanie stoi przed wami: wychowywać i kształtować dusze waszych dzieci. Bądźcie daleko widzący! Albowiem wina i zasługa dzieci spada w znacznym stopniu na głowę i sumienie ich rodziców..."

(Z listu bez daty, według wszelkiego prawdopodobieństwa napisanego w r. 1901 w więzieniu siedleckim).

Sjemia i Szkoła
nr 7—8, 1946 r.).

Tłumaczenie z rosyjskiego

PLANOWANIE W WYCHOWANIU

Planowanie w wychowaniu jest jednym z fragmentów ogólniejszego znacznie zagadnienia: działania planowego i planowej gospodarki.

Planowanie i planowość charakteryzują dzisiejsze życie. Wysunęły się one jako postulaty kierunku, który przeciwstawił się tak zwanej „swobodnej grze sił" i wolnej, nieskrępowanej gospodarce, i wchodzą w życie jako naturalne następstwo procesów ekonomicznych, społecznych i filozoficznych, toczących się w wieku XIX i XX.

Oto wiek XIX, w którym dokonała się rewolucja przemysłowa i tak ogromnie wzrosła wytwórczość, który setki tysięcy, a potem

miliony ludzi wciągnął do produkcji — wiek ten w jaskrawy sposób postawił zagadnienie pracy. Rzuciła się wówczas w oczy jej wielkość i powaga. Gdy w wieku XVI i XVII zrozumiała Europa, że „wiedza jest potęgą“, to w wieku XIX odkryła, że potęgą jest także praca. Pouczały o tym zmechanizowane warsztaty i dymy kominów fabrycznych, a także społeczne ruchy robotnicze i stale rosnąca warstwa robotnicza — proletariat.

Doniosłym czynnikiem uświadamiającym wagę i wielkość pracy była również literatura socjalizmu. W przekonywający sposób pouczali Marks i Engels, że każda rzecz na świecie warta jest właściwie tyle, ile jest warta praca włożona w wyprodukowanie tej rzeczy. Ruda metalu, ukryta w ziemi, nie przedstawia wartości; zaczyna jej nabierać wówczas, gdy dzięki pracy ludzkiej dowiemy się o jej istnieniu w określonym miejscu; większą przedstawia, gdy dzięki pracy robotnika zostanie wydobyta na powierzchnię, i bardziej będzie wzrastała jej wartość w miarę, jak przetwarzać ją będzie praca hutnika, kowala, ślusarza... Tego rodzaju rozumowania budziły i gruntowały przekonanie, że praca ludzka jest jedynym miernikiem wartości.

— Stała się przeto praca w świadomości ogólnej potęgą społeczną, stała się jedynym miernikiem wartości ekonomicznej, ba — pod koniec wieku XIX i w początkach XX — coraz częściej dopatrywano się w działaniu także kryterium prawdy i wartości moralnej.

Filozofowie amerykańscy, reprezentanci kierunku zwanego pragmatyzmem (np. William James, który zmarł w r. 1911) głosili, że zdanie czy prawo naukowe jest prawdziwe, gdy wytrzymuje próbę życia, to znaczy, gdy jest skuteczne, gdy wpływając na nasze postępowanie umożliwia nam łatwiejszą czy lepszą pracę i wnosi pożyteczne zmiany w życiu.

A polski myśliciel Stanisław Brzozowski pouczał (Wstęp do tomu pt.: **Idee**): „Nie to, do jakich przekonań się przyznajemy, ale co **czynimy** z własną wolą i życiem, ma znaczenie“.

Coraz wszechstronniejsze zrozumienie wielkości pracy i doniosłości działania stało się podstawą zagadnienia: jak pracować, ażeby pracować dobrze?

Odpowiedź na to pytanie dawała teoria znana pod nazwą naukowej organizacji pracy i psychologia, która stworzyła poradnictwo zawodowe, i gałąź filozofii, którą w Polsce uprawia prof. Tadeusz Kotarbiński pod nazwą prakseologii, czyli „nauki o działaniu“, a może „nauki o dobrej robocie“.

Analizując warunki dobrej roboty teoretycy tego zagadnienia za jeden z nich uznają zgodnie „programetyzację“, czyli two-

rzenie planów. Spotykają się tu z analogiczną opinią potocznego życia. Oto w życiu codziennym przeciwstawiamy działanie planowe, to znaczy działanie oparte na pewnym przyjętym, obmyślonym planie — działaniu improwizowanemu. W określeniu „improwizowany" nie zawiera się jeszcze ujemna kwalifikacja, znajdziemy ją jednak wówczas, gdy wyrażeniu „działanie planowe" przeciwstawimy „działanie bezplanowe" lub „chaotyczne". Oba te określenia, zgodnie z duchem języka polskiego, kryją w sobie element dezaprobaty: bezplanowość — to nieporządek, chaotyczność — to bałagan.

Działanie planowe skłonni jesteśmy oceniać o wiele wyżej. Lecz znowu pod pewnymi warunkami. Nie oceniamy dodatnio działania planowego wówczas, gdy działanie to zmierza do celu złego, społecznie szkodliwego. Jeśliby ktoś na przykład planowo wychowywał młodych ludzi na wybujałych indywidualistów, zarozumiałych egoistów, ludzi antyspołecznych — to ze względu na szkodliwość celu działanie tego człowieka ocenialibyśmy ujemnie. Podobnie ocenimy działanie planowe, jeśli plan będzie fantastyczny, a więc niewykonalny, jak i wówczas, gdy będzie nieopłacalny.

Prof. Kotarbiński wyjaśnia, że plan jest fantastyczny nie wtedy, gdy zdąża do wprowadzenia w życie ogromnych nawet zmian, lecz wówczas, gdy **fałszywie zakłada istnienie pewnych warunków w tworzywie,** aparaturze lub wykonawcach planu.

Przechodząc do interesującego nas zagadnienia, tak będzie wówczas, gdy wychowawca zupełnie przeciętnych, nie selekcjonowanych dzieci założy, że wszystkie jednostki w jego zespole są wybitnie inteligentne i bardzo zdolne, i będzie tworzył plan zgodnie z tym założeniem lub że można zdobyć wielkie oczytanie dysponując dziesięcioma książkami w biblioteczce, lub wreszcie, że koledzy mogą pracować przytomnie i wydajnie po 20 godzin na dobę... Obserwacja życia dostarczy nam wielu przykładów innych fantastycznych planów.

Dalej jeszcze: plan opracowywany wyłącznie przez kierownictwo instytucji, a podany ogółowi pracowników jako obowiązujący do realizacji — wywołuje często sprzeciw: wykonawcy odczuwają pracę nad spełnieniem planu, w którego opracowaniu nie brali żadnego udziału, planu narzuconego, jako przymus i buntują się przeciw podobnemu ograniczeniu wolności własnej. Nawet wówczas, gdy nie ma wyraźnych oznak buntu, w pracownikach powstaje gorycz i niechęć lub bierność i podejrzliwość, osłabia się zainteresowanie pracą — co ogromnie niszczy człowieka i utrudnia harmonię współdziałania.

Najprostszym sposobem uniknięcia fantastyczności, nieopłacalności, a także przymusowości planu jest zbiorowe jego opracowanie. Zbiorowe i szczere. Konieczne to jest zwłaszcza w wychowaniu, które składa się z czynności twórczych, w którym mamy do czynienia z żywym, czującym materiałem i w którym tak łatwo pobłądzić — przyjęty plan w wychowaniu powinien być wynikiem wspólnej pracy wychowawców. Wówczas, przy pobudzeniu uwagi kilku osób — uniknie się fantastyczności, mała grupa jest bowiem zawsze bardziej krytyczna aniżeli jeden, choćby najwybitniejszy jej członek. Praca i uwaga kilku osób zmniejszają niebezpieczeństwo nieopłacalności planu i — naturalnie — osłabiają poczucie przymusu w grupie wychowawców, którzy stają się przecie współtwórcami planowania.

Teoretyk działania ludzkiego, Georges Hostelet[1]), analizując świadome, planowe działanie, wyróżnia w nim wiele etapów. Za pierwszy uważa wybór celu, za drugi — pomysł środków, za trzeci — wybór środków. Potem następuje działanie, a po pewnym jego etapie — znowu momenty refleksji, które nazywa: 1) diagnozą opisującą i 2) diagnozą wyjaśniającą.

— Wybór celu powinien być dokonany na wspólnym zebraniu. Wtedy ktoś przedstawia cel pracy wychowawczej: albo ogólny dla danej placówki, albo bardziej szczegółowy — na krótszy okres czasu, powiedzmy — na przeciąg jednego roku.

Cel ogólny pracy wychowawczej powinien być ściśle związany z ideologicznymi założeniami Polski Ludowej.

Zdaje się, że jednostki tak właśnie wychowane będą przystosowane do życia społecznego i zyskają aprobatę społeczną oraz będą odczuwały swoją przydatność.

Moment, w którym omawia się cel wychowania, wyjaśnia go i dyskutuje w gronie wychowawców, budzi i ożywia atmosferę zainteresowania.

Wynikiem wymiany myśli na takim wspólnym zebraniu — oprócz możliwie słusznego wyboru celu pracy wychowawczej — będzie ożywienie myśli i wspólność przeżycia wychowawców, przez co członkowie zebrania czują się sobie nawzajem bliscy i — współodpowiedzialni za wybrany cel.

Często dyskutujemy i wybieramy cel nie tak ogólny, obowiązujący na całą pracę wychowawczą, lecz na pewien jej etap. Np. w naszym domu są dzieci z różnych stron, z tak różnych środowisk, że istniejące między nimi różnice wywołują konflikty i kłótnie, spory i niechęci, w takiej sytuacji — często uważam — należy

[1]) Teoretyk i praktyk belgijski. Praca jego była w przekładzie ogłoszona w *Myśli Współczesnej* nr 3, r. 1947.

przede wszystkim obudzić w dzieciach pewne wspólne zainteresowanie, związać je z sobą nawzajem i związać je ze współczesnym życiem Polski. Przykładów takich życie nasuwa mnóstwo. Inny będzie z konieczności cel wówczas, gdy dom jest nowozorganizowany i ma być domem młodzieży — inny wówczas, gdy obejmujemy pracę w domu o dawnej tradycji, w którym dotąd działano strachem i przymusem, a wychowankowie, przyzwyczajeni do biernego posłuchu, nie myślą ani nie działają samodzielnie; inaczej w domu związanym z ośrodkiem rolnym i ogólnie przeznaczonym dla młodzieży dydaktycznie opóźnionej, a jeszcze inaczej w domu rozdzielczym czy w domu o typie pogotowia. Cele wychowawcze takich domów nie mogą być ściśle jednakowe. Indywidualizacja celów jest tu konieczna, indywidualizacja twórcza i inteligentna, to znaczy biorąca pod uwagę zespół warunków zastanych, możliwość i realne tempo ich przetwarzania.

Także dlatego, że cel wychowania, jeśli ma mieć wartość, musi być naprawdę konkretny, to znaczy musi uwzględniać warunki środowiska, dotychczasowe przeżycia wychowanków, ich wiek i możliwości psychologiczne i psycho-społeczne — winien być przepracowany w gronie wychowawców.

Ażeby zapewnić w jego opanowaniu maksimum obiektywizmu i wszechstronności, krytycyzmu i wnikliwości. Ażeby — będąc wspólną własnością grupy wychowawców — stał się podstawą harmonijnego działania wychowawczego i wychowawczej atmosfery.

Momenty następne: pomysł środków i wybór środków.

Wychowanie jest świadomym organizowaniem życia dziecka, to jest organizowaniem jego środowiska rzeczowego, środowiska rówieśniczego, środowiska tradycji kulturalnej (nauczania) i kontaktów z wychowawcami. Pomysł i wybór środków powinien przeto uwzględniać wiele elementów różnych w sposób wielostronny.

Czytając plany wychowawcze domów dziecka lub świetlic spostrzegamy często głębokie zrozumienie tego zagadnienia. Więc jeden z domów np. chce wychować „świadomych pracowników, którzy samodzielnym wysiłkiem umysłów i pracą rąk gruntować będą: a) zasady Polski Ludowej, b) zdobycie świata pracy“. Cel ten wybrano po wspólnej dyskusji. Jako drogi wiodące do niego plan wymienia: czuwanie nad pracą zawodową i szkolną młodzieży, współpraca ze szkołą w zakresie gruntowania podstaw ideowo-politycznych, wciąganie w życie kulturalno-artystyczne (za pomocą licznych środków z własną orkiestrą włącznie, z lekcjami tańca w świetlicy i z pogadankami o sztuce...), nawiązywanie kontaktów ze środowiskiem w oparciu o byłych wychowanków

domu, obecnie robotników, oficerów, działaczy społecznych itd. Często czytamy plany przemyślane, dojrzałe, uwzględniające bogactwo życia i wielokierunkowość potrzeb młodzieży i metod wychowawczych.

Częściej jednakże natrafiamy na plany wychowawcze, w których nie sformułowano w ogóle celu wychowawczego, a dalej — jakże często! — wymienia się jako jedyny środek wychowawczy: pogadankę lub pogadankę i akademię. Pogadanka o Prezydencie Rzeczypospolitej z powodu daty 18 kwietnia, akademia z powodu 1 maja, pogadanka z powodu 3 maja; pogadanka z powodu rocznicy zakończenia wojny 9 maja, akademia z powodu święta matki itd. Pogadanka, akademia, udział w pochodzie — przecież to nie stanowi jeszcze całego wychowania, jest to dopiero mały fragment zabiegów wychowawczych.

Kiedy indziej spotykamy plany pokratkowane: na miesiące wzdłuż jednej osi, na zagadnienia wzdłuż osi drugiej.

W powstałych w ten sposób kratkach czytamy po kolei: 1. wychowanie ideowopolityczne — pogadanka o Tadeuszu Kościuszce i bitwie racławickiej; 2. wychowanie społeczne — pogadanka o poszanowaniu własności publicznej i udział w przyjęciu kolegów z prowincji; 3. wychowanie kulturalne — pogadanka o konieczności stosowania słów: proszę, przepraszam i dziękuję, i wdrażanie do właściwego używania noża i widelca przy jedzeniu; 4. wychowanie praktyczne — skopanie grządek w ogrodzie; 5. wychowanie fizyczne — codziennie kwadrans gimnastyki.

Wszystkie wymienione w tym planie zabiegi, właściwie stosowane, będą miały niewątpliwą wartość wychowawczą i żadnego z nich nie atakujemy. Jednak plan nie jest opracowany właściwie.

W pedagogice często mówimy o wychowaniu estetycznym, społecznym, intelektualnym itd. — to prawda. Mówimy tak w celu jasnego rozgraniczenia zagadnień, co w nauce często jest konieczne. Także — porozumiewając się z drugimi — stwierdzamy, że człowiek, o którym mowa, ma duże wyrobienia społeczne lub że brak mu głębszego wychowania estetycznego. W charakterystyce człowieka uzasadnione jest takie analizowanie zalet i braków. Lecz wychowanie, które jest procesem bardziej zwartym, syntetycznym, całościowym, należy ujmować bardziej całościowo i wielostronnie, mniej analitycznie. Nawyk do używania słów: proszę, dziękuję, przepraszam, jest składnikiem nie tylko kultury towarzyskiej, lecz winien być wyrazem społecznej postawy człowieka, poszanowania przez niego każdej jednostki ludzkiej i w ogóle godności ludzkiej. Np. skopanie grządek w ogrodzie wpływa na dziecko dając mu nie tylko pewną zaprawę praktyczną — w tej czynności zawierają

się elementy doświadczenia i obserwacji przyrodniczych, istotnego uspołecznienia przez wykonywanie pracy w zespole, przez przekonanie o społecznej przydatności tego, co robimy, przez konieczną w tych okolicznościach wymianę przysług i pomocy z kolegami itd. Czynność ta — ma także wielkie znaczenie ideowopolityczne, jako element głębokiej demokratyzacji społeczeństwa przez tworzenie tradycji wspólnego wysiłku, wspólnie podejmowanego fizycznego trudu, co było może zbyt mało doceniane dotąd w polskiej praktyce pedagogicznej.

Słowem, po wyborze, uzgodnieniu, sprecyzowaniu celu wychowawczego należy zdać sobie sprawę z bogactwa środków oddziaływania wychowawczego, ażeby nie ulec ograniczeniu środków do pogadanek i uroczystości. Naturalnie, robiąc przegląd sposobów oddziaływania na dzieci i młodzież — wiele odrzucimy z tych, które nas już dawniej raziły lub które dziś wydają się niewłaściwe albo wręcz szkodliwe. Uczynimy to na przykład z hipokryzją i wszelką nieszczerością (dziś mówimy: zakłamaniem), następnie z budzeniem w dzieciach egzaltowanych przywiązań (co daje czasem pozytywne wyniki pracy wychowawczej, w istocie zaś bywa najczęściej źródłem zahamowań i konfliktów wewnętrznych), odrzucimy też moralizowanie, nadmiar kar, patos i aktorstwo.

Choćbyśmy wiele środków odrzucali — zostanie nam wiele jeszcze godnych zastosowania. Zostanie współpraca codzienna z dziećmi, przykład osobisty i inne formy kontaktu wychowawczego, jak rozmowa, humor i żart, którymi można wiele osiągnąć, wspólne czytanie i omawianie z młodzieżą artykułów z pism codziennych i tygodniowych (np. Kongres Intelektualistów, Wystawa Ziem Odzyskanych, o trudnościach życia i o odbudowie kraju, o połowach morskich, o teatrze i o upowszechnieniu książki...), przemyślany plan dni i miesięcy, współpraca ze szkołą, zaprawianie młodzieży do organizowania swego życia (gospodarka pieniędzmi na drobne wydatki, gospodarka czasem...). Zostaną organizacje dziecięce i młodzieżowe, samorząd i gazetka ścienna, świetlica i pogadanka, kółka samokształceniowe, sport, wycieczki... uroczystości i akademie, i codzienne kształtowanie i bogacenie uczuć... atmosfera wychowawcza i pomoc w osiąganiu zamierzeń, i umiejętne poddawanie szlachetnej treści myśli i życiu dzieci.

Jest w czym wybierać, w tym niewyczerpanym zasobie form, i zawsze można znaleźć środki odpowiednie dla danych zespołów. Po pewnym czasie przemyślanej pracy, może po miesiącu, może później, trzeba omówić, co się nam udaje osiągnąć, a jakie wyniki zawodzą. Opis powodzeń, jak i opis niepowodzeń, powinien być bardzo dokładny i bardzo prawdziwy; trzeba w nim uwzglę-

dnić wiele okoliczności: zespół dziecięcy, osobę wychowawcy, przebieg dnia czy tygodnia, stan zdrowia dzieci, nastroje...; przedstawić reakcje dzieci jako grupy i jako poszczególnych jednostek... Tego rodzaju opis, który powyżej nazwaliśmy diagnozą opisującą, stanowi wstęp do możliwie obiektywnego i wszechstronnego ustalenia przyczyn powodzeń i niepowodzeń wychowawczych.

Może się okaże, że dany zabieg wychowawczy, bardzo odpowiedni dla zespołu dzieci młodszych, zawodzi w zastosowaniu powyżej lat 10, a inny, właściwy dla dzieci zdyscyplinowanych, które pobudza do ruchliwości i szybszej reakcji lub większego wysiłku, zawodzi w zastosowaniu do dzieci świeżo przyjętych do zakładu, bo je podnieca i wywołuje niekarność.

Wnioski, które wyprowadzimy na temat przyczyn powodzeń i niepowodzeń w pracy — stanowić będą diagnozę wyjaśniającą. Wartość jej metodyczna polega na tym, że dając nam orientację w przyczynach osiągnięć i niepowodzeń, pozwala na uniknięcie wielu błędów.

Całe zaś planowanie w wychowaniu, prowadzenie pracy zgodnie z obmyślonym planem, a potem momenty diagnozy opisującej i wyjaśniającej dają z jednej strony możliwość postępu i doskonalenia pracy wychowawczej, a z drugiej stanowią doniosłe elementy samokształcenia. One nie tylko wyostrzają naszą czujność na znane zagadnienia wychowawcze, lecz pozwalają dostrzegać nowe tam, gdzie nie przeczuwaliśmy ich dotąd, i pobudzają do dzielenia się poczynionymi obserwacjami i doświadczeniami. One bronią nas przed zmechanizowaniem i rutyną. Przy silnej skłonności człowieka do tworzenia mechanizmów zachowania się i schematów myślenia, planowanie i sumowanie wyników wychowania utrzymuje nas w przekonaniu, że właśnie nasza praca musi być żywa, a więc czujna, twórcza, indywidualizująca; na tym polega jej sztuka, jej artyzm i — wartość.

Bardzo często dotąd opierano pracę wychowawczą na „intuicji" i „talencie" twierdząc, iż wyniki tej pracy trudne są do zbadania, a zarówno planowanie, jak inne formy refleksji przyczynią się jedynie do zniszczenia bezpośredniości i świeżości kontaktów między wychowawcą a dzieckiem.

Istotnie, trudno obiektywnie badać i oceniać wyniki wychowania, a jednak wiele osób to robi mówiąc o dobrych, średnich i złych świetlicach, domach wychowawczych. Lepiej byłoby ocenę taką opierać na materiałach zaczerpniętych z refleksji nad praktyką wychowawczą, a więc na planie i jego diagnozach. Tu właśnie tkwią podstawy pracy ścisłej w zakresie pedagogiki konkretnej i stosowanej.

Jeśli zaś chodzi o intuicję, o talent, to trzeba bezstronnie stwierdzić, że w głowie żadnego rozumnego człowieka nie powstanie myśl, ażeby studia lekarskie, a potem lektura dzieł medycznych, omawianie z kolegami obserwacji i doświadczeń, studiowanie opisów, w jaki sposób przebiegała dana choroba lub leczenie jej różnymi metodami, że cała ta praca refleksji miałaby zniszczyć czy osłabić talent i intuicję lekarza. Podobnie przedstawia się praca nauczyciela, architekta itd.; refleksja, praca myśli, momenty poznawcze nie tylko nie zabijają intucji, lecz ją wyostrzają dając odczuciom logiczne, naukowe podstawy. Wysiłek myśli wzmacnia też przywiązanie do pracy pogłębiając zainteresowanie nią i wiążąc własną pracę z szerszym zespołem zagadnień.

Zwłaszcza współcześnie działający wychowawca musi świadomie i planowo wychowywać młodzież do nowego — i jakże różnego życia. Do życia, w którym np. blednie ideał bogacenia się jednostek, a rośnie wartość doznań kulturalnych i uspołecznienia.

Dzisiejszy wychowawca musi planować i myśleć, i czujnie i krytycznie oceniać swą pracę, ażeby nie ulec słabości i niewoli wspomnień i — biorąc bierność i rutynę za „intuicję wychowawczą" — nie wychowywać dzieci na ludzi dnia minionego.

My, ludzie wczorajsi i dzisiejsi — mamy bowiem za zadanie wychowywać ludzi jutrzejszych. Żeby to zrobić dobrze — trzeba myśleć, planować, kontrolować i oceniać.

Maria Uklejska

ZNACZENIE WYCHOWAWCZE PRACY

Współczesna pedagogika poświęca wiele uwagi zagadnieniu pracy społecznie użytecznej nie tylko ze względu na to, że umiłowanie pracy jest jednym z głównych elementów naszego ideału wychowawczego, ale także dlatego, że stanowi ona bardzo ważny środek wychowania. Wiele cech, które chcemy zaszczepić młodemu pokoleniu, możemy wyrobić przez wdrażanie dzieci do pracy. Mamy tu na myśli indywidualną pracę ręczną, tj. majsterkowanie, i zespołową pracę społecznie użyteczną.

Zainteresowanie dzieci majsterkowaniem niepomiernie wzrosło ze wzrostem techniki, z rozszerzeniem jej horyzontów, z powiększeniem jej przestrzeni działania. Cicha wioska, w której dzieci najwyżej marzyć mogły o zawodzie kowala czy bednarza, nie budzi potrzeby majsterkowania w takim stopniu, jak ta sama wioska po przeprowadzeniu elektryfikacji, radiofonizacji, po wybudowaniu młyna czy małej fabryki. Z momentem przenikania techniki

do miast, miasteczek i wsi wzrasta zainteresowanie dzieci w dziedzinie techniki, budzą się w nich zainteresowania lotnictwem, elektryfikacją, radiem itp.

Stopień tych zainteresowań zawsze zależy od poziomu uprzemysłowienia kraju w ogóle, a także regionu, w którym dzieci mieszkają.

Zainteresowania te zaspokajane być mogą przede wszystkim przez majsterkowanie w kółkach: ślusarskich, stolarskich, radiotechnicznych, elektrotechnicznych i innych. Zaspokajając w ten sposób zainteresowania dzieci, kształcimy je w tym czy innym kierunku, **rozszerzamy krąg ich wiedzy i umiejętności, zaznajamiamy je z gospodarką naszego kraju.**

W taki sposób poznajemy osiągnięcia techniki, postęp odbudowy i przebudowy przemysłu. Majsterkowanie łączy nas z wielkimi wynalazcami, inżynierami. Pogłębiamy nasz patriotyzm.

Proces pracy jest bardzo skomplikowany. Nawet najprostsza praca wymaga od nas kilku czynności. Rezultat naszej pracy zależy od stopnia naszej uwagi, od tego — jak to popularnie mówimy — w jakim stopniu oddajemy się temu zajęciu. Podczas pracy natężamy nie tylko nasze organy — ręce, oczy. Konieczna jest w ciągu jej trwania celowa wola, która przejawia się w uwadze. Jeśli potrafimy dziecko zainteresować pracą, jeśli uwarunkujemy normalny jej przebieg, uzyskujemy ważny środek kształcenia uwagi dziecka. **Uczeń czy wychowanek, modelujący samolot, zajęty struganiem deski, ćwiczy swą uwagę i doskonali ją zwiększając jej maksymalny stopień skupienia.** Często praca (indywidualna czy zespołowa) jest bodaj najlepszym „lekiem" dla dzieci o małej uwadze.

Obserwujemy dwunastoletniego Ziutka, który struga ster swej łódki. Już trzeci dzień męczy się nad swym dziełem. Ale nie porzuca pracy, mimo że mu „ona nie idzie". „Trzeba doprowadzić ją do końca. Tylko więcej cierpliwości — a wszystko będzie w porządku". Takie postanowienie może powziąć chłopak, który nie pierwszy raz napotkał trudności w pracy i trudności te pokonał. **Praca wyrobiła w nim takie cechy, jak wytrzymałość i cierpliwość.** Praca go udoskonaliła. Jest już pewny, że pracując cierpliwie doprowadzi swe dzieło do końca.

Dwunasto- trzynastoletni chłopcy zazwyczaj „wszystko wiedzą", „wszystko potrafią zrobić". Zrobić notes — to prosta dla nich rzecz! Dajmy jednemu z nich nożyczki, papier, igłę i nici. Wytłumaczmy mu nawet, jak to się robi, pouczmy go o wszystkim dokładnie i niech **sam robi.** Okazuje się, że na wstępie już ma trudności. Wstyd mu nawet zapytać się o to, czego nie wie. Pod-

powiemy mu dyskretnie i przy naszej pomocy zrobi notes. Ten pierwszy wypadek nie umniejszy jeszcze jego chełpliwości — bezpodstawnej pewności siebie. Ale popracuje dłużej, napotka różnego rodzaju trudności i stanie się bardziej ostrożny w swych wypowiedziach. **Praca nauczy go namyślać się, zanim coś powie, rozważać swoje możliwości, zanim zadecyduje o czymś. Praca umniejszy bezpodstawną pewność siebie.**

Od pracy prostej przechodzimy do bardziej złożonych zadań. Trudność tych prac polega nie tylko na wielorakich czynnościach, na powiększeniu rozmiarów samej pracy i czasu jej trwania. Stopień trudności zależy przede wszystkim od kolejności, w jakiej poszczególne etapy pracy po sobie następują. Każdy etap musi być znany z góry, gdyż muszą być poczynione należyte przygotowania.

Przystępując do wykonania samolotu uczeń czy wychowawca musi wiedzieć, jakie mu są potrzebne przyrządy, jaki materiał do tego przygotować, jak ułożyć te przyrządy i materiały, by wszystko było pod ręką. Uczeń musi także poczynić jakieś wstępne przygotowania do każdego etapu pracy. To wszystko trzeba przewidzieć, wszystko trzeba obmyślić. Przystępując do wykonania samolotu chłopak czy dziewczyna musi wiedzieć, czego chce i jak to zrobić, musi znać już z góry każdy szczegół swoich czynności. Po kilku wykonanych pracach dziecko nabiera umiejętności analizy sytuacji, przewidywania i planowania. **Praca uczy planowego działania, systematyzuje nasze myśli i pozwala nam przewidywać.** Używając słowa „przewidywać" mamy na myśli umiejętność nakreślania i stawiania konkretnych zadań możliwych do realizacji. Ta umiejętność przewidywania rodzi także pewność powodzenia i skuteczności przedsięwzięcia. Ta pewność nie ma nic wspólnego z chełpliwością, która polega na braku krytyki i bezpodstawnym poczuciu wyższości. **Praca więc uczy nas nakreślania konkretnych zadań możliwych do zrealizowania. Uczy stawiać osiągalne cele.**

Wszyscy chcemy pracować dobrze, nawet lepiej niż inni. Chcemy, by nasza praca wyróżniała się wśród innych. Osiągamy to dzięki dokładności wykonania, dzięki naszej skrupulatności. Niedokładność w pracy nie tylko umniejsza jej wartość, ale często uniemożliwia doprowadzenie dzieła do końca. Być skrupulatnym w pracy, to znaczy posiadać nie byle jaką sztukę. Osiągnąć ją możemy tylko przez ćwiczenie się, przez wprawianie się w pracy. **Praca uczy nas być dokładnymi i skrupulatnymi w życiu przy każdej czynności.**

Budujemy z zespołem dzieci model tramwaju. Każdy ma pewien mały zakres pracy. Jeden planuje trasę, drugi kładzie szyny, inni budują wozy, motor itp. Niechaj ktoś się pomyli — przypuśćmy — oś wydłuży o 1 mm, i robota całego zespołu na nic, „tramwaj" się nie udał. Kto winien? Szukają błędu i znajdują winowajcę. On się tłumaczy, ale fakt jest faktem — zawinił. Jest przyczyną zmartwienia tylu kolegów, których lubi i którzy go lubią. Obiecuje być bardziej starannym. Stara się i to mu się udaje. **Rozumie już, co to jest odpowiedzialność. Nauczyla go tego praca.**

Uczestnicy kolonii wyruszyli w pole. Była ich spora grupa. Wśród nich byli i tacy, którzy szli niezadowoleni. Coś dręczyło ich już od dawna, ale nie wiadomo co, bo nikomu o tym nie mówili. Stali się nawet małomówni... Praca szła raźno. Zbliżał się wieczór. Na polu nie było już ani jednego źdźbła. Zagrzmiała wesoła pieśń! Śpiewają wszyscy — nawet ci „smutni". To uczucie twórczej radości zmieniło ich nastrój. „Kto nie przeżył tego,że po trudnej pracy, pożerającej długo siły człowieka, niebo zdaje się **światlejsze,** słońce jaśniejsze i ludzie lepsi!" Praca pozwala nam cieszyć się, przeżywać emocje. **Praca pozwala emocjonalnie nasycić dzieciństwo twórczą radością.** Dzieci często są smutne, bo nie mają co robić, bo nie czują zadowolenia, bo są zmęczone nieróbstwem. I to jest prawie zawsze powodem ich kaprysu, który da się wyleczyć przede wszystkim zainteresowaniem dziecka jakąś pracą.

Jaś był chłopcem lekkomyślnym — gubił zabawki albo je łamał. Gdy dorósł, zaczął strugać i nauczył się majsterkować. Robił różne zabawki. Kosztowały one go wiele czasu, cierpliwości i sił; i gdy mała Małgosia psociła i psuła jego pracę, był zły. Jaś nauczył się cenić rzeczy. Nie tylko nie łamał zabawek, ale zaczął dbać o każdą rzecz. Zeszyty, książki, ołówki utrzymywał w porządku, wszystko miało swoje miejsce, wyglądało estetycznie. **Działanie nauczyło go cenić pracę i jej wytwór.**

Podane wyżej przykłady i rozważania wskazują nam, że dzięki pracy możemy wyrobić w dziecku wiele cech potrzebnych mu w życiu osobistym i społecznym. Dlatego też tak ważnym zadaniem wychowawcy jest zorganizowanie pracy dzieci.

R. P.

SYLWETKI DZIECI PRZEDSZKOLNYCH

(Z dzienniczka wychowawczyni)

Ania

Ania jest bardzo zaniedbanym dzieckiem. Wydaje się zahukana, zalękniona.

Ciągle skarży, podsłuchuje rozmowy starszych (może raczej: nasłuchuje rozmów), prawie nigdy nie objawia swojej woli, swojego pragnienia. Ambitna.

Najważniejszym moim zadaniem na najbliższą przyszłość jest obudzić w Ani „chcenie". Dlaczego ona ma zawsze w zabawie być koniem, a nigdy woźnicą? Zawsze żołnierzem — nigdy oficerem? Będę ją „buntowała" i muszę uważać pilnie, żeby nie była wyzyskiwana w zabawie. W pracy i przedtem nie dawałam jej wyzyskiwać. Ania jest dobra i bardzo bierna — gotowa byłaby, choć bez specjalnej ochoty, co dzień być dyżurną.

I będę się starała, żeby Ania wypowiadała swoją wolę co do wyboru zabaw. Chłopcy i Rysia zawsze „ją zakrzyczą". „Wy chcecie berka, a ty, Aniu, w co chciałabyś się bawić?" — i ewentualne głosowanie. Niech będzie choć raz na dzień tak, jak Ania chce i co Ania chce. Niech Ania coś inicjuje — a nie zawsze powtarza po innych.

Obawiam się, że Ania może wyrosnąć na człowieka nieszczęśliwego.

Inne zagadnienie to budzenie zainteresowań Ani. Ma ich znacznie mniej niż inne dzieci, za to bardziej określone: lalki, małe dzieci, gospodarstwo. Myślę, że przy budowaniu, a zwłaszcza urządzaniu domku lalek Ania „odnajdzie siebie".

Ambicję Ani staram się zaspokoić przez głośne chwalenie jej za to, co dobrze zrobi. Podnosi to Anię w oczach dzieci, że najsprawniejsza jest w ubieraniu się i jedzeniu.

Czy oduczy się skarżenia? Może pomówić z nią o tym?

Bardzo mi brak kontaktu z jej matką. Przypuszczać tylko mogę, że dzieckiem za mało się interesuje. Muszę koniecznie poznać dom Ani.

Krzysztof

Nie „rozgryzłam" jeszcze tego chłopaka.

Robi chwilami wrażenie małego dorosłego — za mało jest jakoś dziecięcy, zbyt poważny i poprawny w zachowaniu.

Rzadkie, ale bardzo silne „napady" uporu Krzysztofa i jego ambicja (a może te dwie rzeczy łączą się u niego silnie z sobą i nie można ich traktować oddzielnie) wydają mi się najważniejsze do wychowania w nim.

Nie znalazłam jeszcze podejścia do Krzysia. Wiem tylko, że trzeba ostrożnie.

Janek

To niewątpliwie najtrudniejsza „sztuka".

Chyba na niego patrzył Ejsmond, kiedy pisał o uśmiechu dziecięcym, dzięki któremu —

„Szala ludzkiego szczęścia zniżyła się aż do ziemi
i podniosła się szala smutków, jakby smutki nie były smutnemi".

Nie mogę się oprzeć mniemaniu, że dziecko o takim uśmiechu musi być — jak to się mówi — „z gruntu dobre". A przecież obyczaje Janka przeczą temu. Czyżby aż tyle zawiniło wychowanie domowe? Bo Janek nie jest dobry. Dzienniczek mój pełen jest przykładów uzasadniających to twierdzenie; popychanie dzieci, siadanie przy stole w taki sposób, że dla innych nie ma miejsca, stawianie kolegów w gorszym świetle dla podniesienia siebie i mnóstwo innych.

Wydaje mi się, że Janek byłby znacznie lepszy — bo miewa i miłe odruchy (choć nie czyni ich nigdy prawicą bez wiedzy lewicy) — gdyby nie rozdmuchana ambicja.

Ona to pcha go zawsze na pierwsze miejsce, choćby „po trupach" innych (np. spychanie Ani w wyścigach). Ona mu każe siadać tak, żeby nikt inny nie wyżył na tej samej ławce: „tak siada Janek". Nic innego, tylko niezdrowa ambicja kazała Jankowi zostać w domu, kiedy wbrew jego grymasom mieliśmy pójść do szklarni. Czy przez tę ambicję nie powiadomił mnie Janek o tym, że nie pójdzie? Sądzę, że raczej przez brak wychowania. Janek nie potrafi się z kimś liczyć, Janek nie uznaje konieczności podporządkowania się ogólnie przyjętym prawom. Nie chce — i koniec.

Zwróciłam kiedyś Jankowi uwagę przy śniadaniu, że wyciera nogi o jakąś serwetkę leżącą pod stołem. — To nie moja — odpowiada spokojnie.

Raz prosił mnie Janek o jakąś przysługę. Ponieważ w moim planie wychowawczym na ten okres przede wszystkim znajdowało się wyrabianie samodzielności dzieci, spytałam, czy istotnie sam nie potrafi sobie poradzić.

— Potrafię — odpowiada Janek z „cynicznym" spokojem — ale wolę, żeby to ktoś za mnie zrobił.

Zauważyłam też u Janka drobne, złośliwe kłamstewka, stojące na pograniczu żartów.

Oj, nie zazdroszczę przyszłej żonie Janka i jego podwładnym. Przełożeni poradzą sobie z nim — jeżeli zachowają w stosunku do niego obojętność i stanowczą postawę. „Bohaterstwo" Janka ma bowiem granice.

Sądzę, że Jan może się zmienić. Ale na to trzeba długiego czasu i dużych starań. Gdyby matka zechciała zrozumieć, jakie są najważniejsze zadania w wychowaniu jej syna, ułatwiłaby mu życie w przyszłości. Jemu i innym.

A Janek to chłopiec o poważnych wartościach: inteligentny, bystry, dowcipny, pomysłowy, zdradza pewne uzdolnienia organizacyjne i kierownicze.

Szkoda będzie duża, jeśli pozostanie spaczony.

Staram się, żeby Janek zrozumiał, że jego osoba nie jest najważniejsza na świecie, że obok jego interesu istnieją niemniej ważne interesy innych, że trzeba koniecznie liczyć się z innymi i szanować ich potrzeby, że pragnienia jego nie mogą być źródłem praw — nie wszystko musi odbywać się tak, jakby tego chciał Janek, że trzeba się podporządkować.

W momentach wybryków Janka (a zdarzają się często i są bardzo przykre) jestem oschła i stanowcza, nie mam pobłażania. Raz jeden krzyknęłam — i pomogło od razu, choć nie pomagały poprzednie delikatne uwagi. Co prawda, krzyknęłam drugi raz w życiu naszego kompletu (pierwszy raz na Wojtka) i nie zrobiłam tego ze złości, lecz na zimno, co dzieciak doskonale odczuł. Raz próbowałam z nim rozmawiać — i nie potrafię powiedzieć, na ile nawiązał się wtedy między nami kontakt. A może takie rozmowy to „za duży honor" dla Janka? — z innymi nie rozmawiam na osobności.

Jak znaleźć ujście dla źle skierowanej ambicji Janka? Jak go uspołecznić (zbrzydło mi to słowo)?

Dobrze, że Janek chodzi do przedszkola.

Rysia

Kiedy pierwszy raz zobaczyłam Rysię, nie podobał mi się jej nos (dosłownie). Pomyślałam, że musi to być dziecko nerwowe.

Jak się Rysia rozbawi, oddaje się grze całkowicie, a prawdziwą tragedię stanowi dla niej przerwanie zabawy (kiedy już czas do domu albo gdy dzieci w co innego chcą się bawić). Nie może przestawić się na nową sytuację — tupie nogami, śmieje się nerwowo, krzywi się: — Ja chcę jeszcze w chowanego! Nie pójdę za nic do domu!

Kiedy się tak zapamięta w zabawie, nie słyszy, co się do niej mówi, można ją wołać głośno, stojąc tuż przy niej — ani się obejrzy.

Złości się często i gwałtownie, choć krótkotrwale. Gdy jest zła, uderzy, uszczypnie, minę ma wtedy zupełnie „dziką". Ale zaraz się rozpogadza, uśmiecha, łatwo przeprasza sama — wie że zawiniła.

Niech ktoś uderzy Wojtka czy wydrze mu zabawkę, Rysia ma łzy w oczach, zanim jeszcze Wojtek wrzaśnie. Wrażliwa, przewrażliwiona.

Raz została sama na schodach i — płakała ze strachu, co się przecież nie zdarzyło żadnemu z dzieci. Płacz jej trudno było odróżnić od śmiechu.

Mam pewną koncepcję dotyczącą Rysi. Nie ręczę za jej słuszność, chociaż matka uważa ją za prawdopodobną, a fakt, że „nerwowość" Rysi zaczęła występować silnie po urodzeniu Wojtka, potwierdza ją.

Według tej koncepcji byłby to czysty adlerowski przypadek: Rysia z pojawieniem się brata przestała być jedynaczką. Tragedia tym głębsza, że Wojtek stał się beniaminkiem. Inaczej traktowali i traktują rodzice jego niż Rysię.

Wojtek jest śliczny, śmieszny, mądry, rozkoszny, przylepny — Rysia jest po prostu starsza.

Kiedy matka przychodzi po dzieci, Wojtek rzuca się ku niej z okrzykiem i ściska, a Rysia stoi z daleka. Matka wita się z nią jak z dorosłym, chłodno, poważnie. A Rysia ma dopiero sześć lat.

Usiadłam raz w fotelu, żeby czytać książkę. Dzieci skupiły się obok. Wojtek gramoli się na kolana. To już charakterystyczne, innemu dziecku nie przyszło to do głowy. Za Wojtkiem Ania (ona musi powtarzać, naśladować). Wojtek ją odpycha: — Odejdź, ja jestem młodszy.

Jest młodszy, więc ma przywileje, których pozbawiona jest Rysia.

Zwracam teraz większą uwagę na Rysię. „Zaprzyjaźniłam" się z nią. Powiedziałam raz (nie przy dzieciach, bo po co?), że jest moją pociechą. Zdziwiła się.

Rysia istotnie jest najzręczniejsza z dzieci. I na Rysi w wielu wypadkach można polegać. Jest odpowiedzialna i w pewnym sensie dojrzała.

„Kokietuję" więc Rysię, chwalę, uśmiecham się do niej, zwracam się często o pomoc, proszę o dopilnowanie pewnych spraw. Tych ostatnich rzeczy nie chcę jednak nadużywać; niech Rysia nie czuje się zawsze najstarszą i najpełniejszą obowiązków.

Najbardziej potrzebna jej jest serdeczność.

Może zmniejszy się nerwowość Rysi, a wzrośnie jej beztroska i „dziecinność"?

Bardzo jest ważne, że mogę liczyć na pomoc matki.

RACA WYCHOWANKÓW W GOSPODARSTWACH ROLNYCH DOMÓW DZIECKA

Duża ilość naszych domów dziecka posiada gospodarstwa rolne traktowane jako jedno ze źródeł pomocy materialnej dla zakładu.

Znaczenie gospodarstwa z tego punktu widzenia jest przez kierownictwo i personel domów dziecka dostatecznie zrozumiane i doceniane, choć sama organizacja warsztatu rolnego nie zawsze stoi — z różnych zresztą powodów — na poziomie zapewniającym największe w danych warunkach dochody.

Powszechnym natomiast zjawiskiem jest niedocenianie roli gospodarstwa rolnego domów dziecka w kształceniu i wychowaniu dzieci i młodzieży. Ważny ten środek pedagogiczno-dydaktyczny nie jest świadomie i celowo wyzyskany przez kierownictwo i personel, tot ż w rezultacie użycie go przynosi wręcz ujemne skutki w pracach wychowawczych. Warto, by powyższy temat stał się przedmiotem dyskusji na łamach naszego pisma, na zjazdach, konferencjach kierowników i na posiedzeniach personelu wychowawczego w poszczególnych domach dziecka posiadających gospodarstwa rolne.

W związku z tym poniżej kilka uwag z obserwacji w terenie.

Wychowankowie domów dziecka pracują w gospodarstwie rolnym zakładu. Stąd wypływa wniosek, że ta ich praca. jak w każdym innym dziale, winna być traktowana jako część ogólnego systemu wychowawczego opracowanego przez zakład. Musi więc mieć określony swój własny cel, określone sposoby postępowania, właściwą organizację, odpowiadające ustalonym założeniem domów dziecka.

Czy tak jest? Niestety, nie.

Szczególnie niewyraźne są cele. Jakiż cel przyświeca kierującym dzieci do pracy w gospodarstwie rolnym?

Spostrzeżenia wykazują, że prawie jedynym tu motywem jest pokrycie zapotrzebowania rąk roboczych w gospodarstwie. Więc nie dzieci, lecz gospodarstwo jest brane pod uwagę. Założenie nie do przyjęcia w zakładzie wychowawczym, gdzie gospodarstwo ma być tylko środkiem, nie zaś celem.

Jakież cele istotne mają przyświecać przy zatrudnieniu wychowanków w gospodarstwie? Myślę, że przede wszystkim następujące:

1. Zaspokoić potrzeby zdrowotne wychowanków (ruch, powietrze, słońce).

2. Zbliżyć do przyrody, między innymi wykorzystując pracę w gospodarstwie dla pogłębienia wiadomości z przyrody — szczególnie z zakresu botaniki — nauczyć obserwować.

3. Wyzyskać przyrodę w wychowaniu estetycznym, pogłębić wrażliwość na piękno.

4. Dać możność ujawnienia zamiłowania lub zainteresowania zawodami rolniczymi i ogrodniczymi.

5. Wyrobić zamiłowanie do pracy i szacunek dla pracy fizycznej.

6. Wprowadzić w pojęcie i organizację procesów produkcyjnych.

7. Wyrobić praktyczność i zaradność życiową.

8. Wytworzyć poczucie przydatności i własnej wartości.

9. Umocnić wiarę we własne siły — jako podstawy usamodzielnienia się w niedalekiej przyszłości.

10. Wyrobić poczucie odpowiedzialności i obowiązkowości.

11. Nauczyć żyć i pracować w zespole.

Jak nie ma dotychczas konkretnie opracowanych celów pracy dzieci i młodzieży w gospodarstwach rolnych, tak też nie znajdujemy również należytej organizacji tej pracy.

Najczęstszym zjawiskiem jest dorywczość, brak planu.

Plan to właśnie teoretyczne przygotowanie działania, a więc przewidzenie czasu, środków i sposobów postępowania, prowadzących do realizacji zamierzonych celów. Brak planu to praca po omacku.

Planując organizację pracy wychowanków w gospodarstwie rolnym należałoby przede wszystkim rozważyć i pozytywnie rozstrzygnąć następujące zagadnienia: okres czasu objęty planowaniem (np. rok, sezon, miesiąc), czas pracy dzieci różnego wieku w ciągu dnia i w różnych porach roku, rodzaj pracy dla wychowanków różnego wieku, długość czasu pracy w danym dziale, kolejność przechodzenia przez różne działy pracy w gospodarstwie (ogród, pole, hodowla itd.), formę organizacyjną pracy — grupa dorywczo zebrana czy zespół stały jako grupa ludzi związanych wspólnym celem, który ma być osiągnięty wspólną pracą. Jeśli zespół — to sposób powołania zespołu do życia, ustalenia jego wewnętrznej organizacji, liczebności zespołu, czasu zorganizowania i okresu trwania, ustalenia praw i obowiązków członków zespołu, programu, prac zespołu itd. Dalej wybrać należy odpowiedzialnego kierownika, któremu powierza się wykonanie planu,

przewidzieć inne środki i pomoce potrzebne do realizacji planu, np. przeprowadzenie współzawodnictwa między zespołami, urządzanie zebrań instrukcyjnych przed rozpoczęciem pracy w gospodarstwie, zebrań sprawozdawczych z wykonania pracy i planujących prace na dalsze okresy — w ramach ogólnego planu, wprowadzenie odznak sprawności rolniczych, jak w harcerstwie itp.

Plan winien być opracowany łącznie z zainteresowaną młodzieżą wszędzie tam, gdzie to jest możliwe, zostawiając jej duże pole do inicjatywy i samodzielności, stwarzając okazję do samorzutnej działalności.

Określając ściśle kompetencje np. zespołu zostawić mu należy w ramach tych kompetencji dużo swobody. Stawiać wychowanków w warunkach życiowych, dawać okazje i sposobności najbardziej do życia zbliżone.

Względy życiowe domagają się również koniecznie rozwiązania sprawy opłacania zorganizowanej stałej pracy wychowanków w gospodarstwie bądź uznania jej wartości w inny sposób. Tępić również należy często spotykane zjawisko przeciążania młodzieży pracą czy to w postaci pracy ponad siły, czy zatrudnienia jej w gospodarstwie przez długi okres czasu z uszczerbkiem dla całości.

Kończąc te kilka myśli oczekuję wypowiedzi koleżeństwa, którzy zechcą podzielić się swoim doświadczeniem w tej dziedzinie.

Irena Odyniecka

UDZIAŁ DZIECI W PRACY KOŁCHOZU

Podajemy tłumaczony z sowieckiego pisma pedagogicznego artykuł opisujący fragment pracy wychowawczej.

Artykuł ten może być wzorem dla wychowawców: uczy on, jak należy przystępować do obowiązków wychowawczych i jak należy pisać sprawozdanie ze swej pracy.

Precyzja, dokładność w pracy, przemyślenie jej techniki, a następnie prostota i skrupulatność w opisie tej pracy — oto czego wielu z nas może się z podanego niżej artykułu nauczyć.

Redakcja

Grupa chłopców-dziesięciolatków była w internacie najmłodsza. Pierwsze lata szkolne spędziła ona na ewakuacji. Grupa była niewielka (12 osób), mieszkała w osobnym pokoju i stanowiła koleżeński zespół chłopięcy. W ciągu tych kilku lat życia w internacie chłopcy zdobyli nawyki samoobsługi, pierwsze nawyki zajęć szkolnych i samodzielnego odrabiania lekcyj...

Praca dzieci wypływała z potrzeb życiowych w internacie. Zaścielić łóżko, złożyć rysunki, książki, zabawki, pomóc w sprzątaniu pokoju, wyczyścić ubranie i obuwie — to wszystko powtarzało się z dnia na dzień i było dla dzieci sprawą zrozumiałą.

Na wiosnę 1943 r., po dwu latach istnienia internatu, rozpoczęliśmy z chłopcami nową formę społecznie użytecznej pracy. Dzieci zaczęły zbierać trawy lecznicze dla szpitali frontu. Z tą nową pracą dzieci związana była już nowa praca wychowawcza, która z kolei przygotowała dzieci do udziału w pracy produktywnej na polach kołchozu jako pomoc dla frontu, która wyrażała się w pieleniu zbóż jarych. Praca ta nie była za ciężka dla chłopców, gdyż czas pielenia określono na dwie godziny dziennie wliczając w to i czas organizacji pracy. O tej pracy właśnie chcę opowiedzieć w niniejszym artykule. Ażeby przygotować dzieci do tego rodzaju pracy, czytałam im jaskrawe opisy fragmentów życia frontowego o bezgranicznej wierności żołnierzy Ojczyźnie, o ich dzielności i odwadze. Dzieci żywo reagowały podczas czytania, rozpoczynała się interesująca rozmowa. Dzieci wspominały swych bliskich znajdujących się na froncie, czytały nam ich listy. W listach rodzice wyrażali troskę o dzieci. Oto wskazówka ojca: „Ucz się bardzo dobrze, słuchaj wychowawczyni, bądź zdyscyplinowany". A oto prośba matki: „Chroń zdrowie, ucz się dobrze". Znów rada brata: „Ucz się bardzo dobrze, żyj w zgodzie z kolegami, ucz się pracować, zaprawiaj się, aby stać się doskonałym żołnierzem". To ostatnie pismo było dla nas obecnie ważniejsze od innych. Zatrzymałam się na nim, wyraziłam wielki szacunek dla autora tego listu, brata naszego chłopca, i szczególnie podkreśliłam jego radę, ażeby uczyć się pracować. Chłopcy byli gotowi do pracy i poprosili, by im pozwolić na pójście do pracy do kołchozu na pielenie.

— Czy podołamy tej pracy? Wszak to praca ciężka. Starsze grupy niż nasza i to męczą się przy pieleniu.

— Wy prędko się zmęczycie i być może nie potraficie wykonać całej roboty — uprzedziłam dzieci.

Chłopcy byli zdrowi, silni i dostatecznie wytrzymali. Zapewniali mnie, że podołają pracy i skarżyć się nie będą na zmęczenie, postarają się pracować z całych sił. Dałam swoją zgodę. Postanowili jutro z rana przystąpić do dzieła. Zastanowiliśmy się, kiedy wyjdziemy, jak będziemy ubrani i z czym ruszymy w pole. W rozmowie dałam dzieciom odczuć, że głęboko szanuję ich decyzję i razem z nimi gotowa jestem zwalczyć wszelkie trudności.

Następnego dnia rano wyszliśmy w pole, które znajdowało się niedaleko naszego internatu...

— Wczoraj słusznie postanowiliśmy pójść pracować na polu — powiedziałam. — Dzisiaj rano agronom kołchozu Iwan Fadiejewicz powiedział mi, że do pracy na tym polu można dopuścić tylko was, malców, bo wy nie zdepczecie owsa. Patrzcie, owies już podrósł. Jeśli nań ciężko nastąpi dorosły człowiek, to owies się zemnie, już się nie podniesie i przepadnie. A przepleć go trzeba. Widzicie tu ten chwast? To rzepak. On już wyrósł wyżej niż owies. A to co? Słusznie, to piołun. Niedawno zbieraliśmy go jako roślinę leczniczą. Tu piołun przeszkadza rozwijać się zbożu, zabiera dużo wilgoci i pokarmu i szkodzi urodzajowi. Czy kołchoz może dopuścić do złego urodzaju, zwłaszcza teraz, podczas wojny? Nie! Dlatego kołchoz prosi nasz internat o pomoc w przeplewieniu owsa. Internat polecił tę pracę grupom małych dzieci.

Zabrałam ze sobą na pole kilka kijów. Dwa ustawiłam w odległości 5 metrów jeden od drugiego i po dwa kije z boków nakreślonej działki szerokości 12 metrów (według liczby dzieci w grupie). W ten sposób została wydzielona mała działka z dużego pola. Wielkie pole mogłoby odstraszyć dzieci swoimi rozmiarami. A maleńką działkę dzieci szybko wypielą i kiedy oglądać będą wyniki swej pracy, nabiorą otuchy i wiary w swoje siły i będą pracować dalej z większą ochotą.

Na czym polegała trudność pielenia, którą musiały dzieci same przezwyciężyć? Przede wszystkim jaskrawy, żółty kwiat rzepaku na tle jasnej zieleni owsa bardzo męczył wzrok podczas plewienia, a zielony, bardziej niski piołun wyślizgiwał się z pola widzenia. Po wtóre do wyrwania rzepaku i piołunu potrzebne są różne siły. Dziesięcioletni chłopak trudno koordynuje ruchy wymagające różnego napięcia muskułów. Jeśliby rzepak i piołun przeplatały się nawzajem rytmicznie, to ta koordynacja ustaliłaby się szybciej, ale chwasty rosną w nieporządku i potrzebny jest wielki wysiłek uwagi, ażeby za każdym razem wykonywać odpowiednie ruchy. Na początku pracy dzieci szybko się zmęczyły. Zmęczenie ich wzrastało skutkiem tego, że nie znały jeszcze prawidłowych chwytów pielenia i nie posiadały jeszcze potrzebnych do tego nawyków.

W moim planie pracy wychowawczej przewidziałam pokaz sposobów pielenia podczas procesu samej pracy. Dopiero potem zrozumiałam swój błąd, że należało wcześniej pouczyć dzieci o sposobach pracy. Rozstawiłam dzieci tak, żeby każdemu dostał się pas ziemi na metr szeroki. Przystąpiły do pracy. Nawyk, który dzieci zdobyły podczas zbioru roślin leczniczych i pielenia

grządek, przeniosły teraz na pielenie zboża. Starając się pracować możliwie szybko, zrobić możliwie więcej, rwały chwasty za czubek, tak jak robiły to przy zbiorze piołunu dla szpitali (jak zioła lecznicze), rozpraszały się w pogoni za dużymi chwastami. Oglądając się spostrzegały, że zostawiały dużo piołunu, znów wracały, rzucały się na wszystkie strony, starając się więcej nie przepuścić chwastu.

W taki sposób poplątały swe rzędy i deptały owies. Wiele z nich przycupnęło z przyzwyczajenia, którego nabrały podczas zbioru liści poziomkowych. Przykro mi było z powodu popełnionego błędu. Należało poprawić omyłkę i pomóc dzieciom. Powiedziałam im:

— Chłopcy, depczemy bardzo owies. Chodźcie, nauczymy się dobrze plewić. Nina, pokaż, jak należy prawidłowo plewić! (Nina, starsza pionierka, która pomagała mi w pracy z chłopcami). Żenia, teraz pokaż, jak ty to robisz.

Żenia cośkolwiek przejął z pokazu starszej dziewczynki, ale bez dodatkowego wyjaśnienia nie mógł przyswoić sobie wszystkich chwytów. Pokazałam mu chwyty z analizą ich elementów.

— Należy ująć u dołu źdźbło obydwiema rękami i silnym szarpnięciem wyrwać piołun z korzeniem. Bezwarunkowo z korzeniem.

Chłopcy powtórzyli kilkakrotnie mój chwyt. Wszyscy powtarzali szarpnięcie na moją komendę. Gdy nauczyłam dzieci chwytać chwasty i wykonywać szarpnięcie, zwróciłam im uwagę na układ tułowia i nóg podczas pracy. Potem objaśniłam, jak należy posuwać się, nie rozpraszać się, nie patrzeć daleko naprzód, lecz tylko na dół, na chwasty, ażeby nie męczyć wzroku jaskrawym światłem. Mój pokaz zainteresował dzieci, a praca nabrała dla nich nowego sensu.

Ci chłopcy, którzy wcześniej od reszty nauczyli się pleć, zaczęli pracować lepiej i prędzej posuwali się naprzód na swej działce. Aby pokazać mnie i kolegom swoje umiejętności, odchodzili coraz dalej nie zwracając żadnej uwagi na pozostałych w tyle. Wzajemna pomoc i przychylny stosunek do kolegów, te bezwzględne wymagania podczas pracy zbiorowej, były naruszane przez chłopców. Ale ja wstrzymałam się od robienia uwag moim „pyszałkom". W tym wypadku moralizowanie byłoby niewłaściwe, albowiem chłopcy pragnęli pokazać siebie z lepszej strony podczas pracy, chcieli wyprzedzić kolegów swymi rezultatami. Po przerwie rozstawiłam dzieci parami tak, żeby umiejący nauczał nieumiejącego i pomagał mu. Sama z Niną (moją pomocnicą) pomagałam pozostającym w tyle i prędko podciągnęliśmy wszystkich. Doszedłszy do przednich kijów zrobiliśmy przerwę. Kijów nie zdję-

łam od razu, ażeby dać dzieciom możliwość zobaczyć, co w rezultacie ich zbiorowej pracy zostało wykonane.

Każdy rodzaj pracy wymaga także organizacji odpowiedniego odpoczynku. I tak po zajęciach lekcyjnych dzieci lubią odświeżyć się i pobiegać. Po pieleniu chłopcy zmęczeni, pragnęli przede wszystkim poleżeć w cieniu na trawie. Dałam im tę możliwość. Ale przedtem wykonałam z nimi kilka wolnych ruchów. Podczas pracy, przy skłonie tułowia i nieco naciśniętej klatce piersiowej, oddychanie było powierzchowne i niepełne. Jedna grupa mięśni była w ruchu, druga w naprężeniu, a jakaś część mięśni była w stanie nienaprężonym. Należało spowodować pełną wymianę powietrza w płucach i powoli odprężyć mięśnie, które pracowały, oraz wprowadzić w stan naprężenia mięśnie zwolnione od udziału w pracy.

Po wolnej gimnastyce dzieci rozłożyły się na trawie pod brzózką. Przez jakiś czas leżały milcząco oddając się pełnemu odpoczynkowi. Odpocząwszy poprosiły, bym opowiedziała bajkę. Znając swych chłopców i przewidziawszy taką prośbę przygotowałam dla nich interesującą bajkę. Bajka przewidziana była przeze mnie jako środek odświeżający i mający przestawić uwagę dzieci. Powinna była rozładować i wewnętrzne napięcie spowodowane spieszną pracą... Opowiedziałam tylko pierwszą część bajki i obiecałam dopowiedzieć podczas następnej przerwy, jeśli wszyscy będą w zgodzie pracować, pomagać sobie wzajemnie i jednocześnie posuwać się naprzód.

— Pomyślcie sami, jak to najlepiej zrobić — powiedziałam na zakończenie.

W taki sposób nie ja wskazałam, lecz dzieci same domyśliły się (przy mojej nieznacznej pomocy), jak i w czym powinna wyrażać się wzajemna pomoc w pracy. Zarówno w wychowaniu, jak i w kształceniu aktywności dzieci — to rękojmia dobrych wyników.

Przed przerwą zwracałam szczególną uwagę na nauczanie dzieci techniki pielenia. W polu widzenia miałam przede wszystkim dzieci, które z trudem przyswajały sobie tę technikę. Po przerwie po kolei obchodziłam wszystkie dzieci kontrolując, jak każde z nich pracuje. Pracującemu zawsze miło, jeśli się widzi i ocenia jego pracę. Dzieci w wielkim stopniu potrzebują uznania i nagrody. Wychowawca, który dążąc do tego, ażeby szybciej wykonać plan, sam pracuje za troje dzieci na polu, robi wielki błąd. Bezwzględnie, wychowawca, który nie leni się, pracuje z zamiłowaniem, staje się dla dzieci dobrym przykładem, ale należy pamiętać, że jego głównym celem jest obserwacja pracujących dzieci, kontrola nad nimi, zachęcanie ich do pracy, regulowanie pracy i od-

poczynku, wychowanie wzajemnych stosunków koleżeńskich podczas wspólnej pracy. Obserwowałam nie tylko sprawność dzieci, ale i to, jak dzieci pomagają sobie nawzajem. Dążyłam do tego, aby dzieci zrozumiały, że wzajemna pomoc potrzebna jest dla posuwania się naprzód ogółu, dla lepszego wykonywania pracy. Dzieci same wymyśliły przysłowie: „Pomagasz — nie bądź dumny; uczysz się — nie wstydź się".

Skuteczne opracowanie nawyków, zastosowanie swoich umiejętności do pracy społecznie użytecznej, wzajemna pomoc, ocena rezultatów pracy — wszystko to razem wytwarzało u dzieci poczucie zadowolenia i stworzyło bezpośrednie zainteresowanie pracą. Było to bardzo cenne, bo zamiłowania do pracy nie można wychować bez uczucia zadowolenia z samego procesu pracy.

Teraz zadanie moje wyrażało się w tym, aby podporządkować działalność dzieci ich świadomej działalności dla dobra ojczyzny. W tym celu postanowiłam wprowadzić do swej pracy z dziećmi agronoma kołchozu, ojca trzech synów, uczestników frontu, którego dzieci z internatu bardzo ceniły.

Iwan Fadiejewicz często zapraszał dzieci do siebie do domu, częstował je mlekiem i miodem. Zrozumiałam, że jego ustosunkowanie się do pracy dzieci, jako do sprawy korzystnej dla kołchozu i dla frontu, jego dodatnia ocena pracy dzieci bardzo korzystnie wpłynie na świadomość dzieci. Oto dlaczego poprosiłam go, by przyjął pracę dzieci po pierwszym wyjściu w pole. Iwan Fadiejewicz przyszedł do nas pod koniec pracy i dokładnie obejrzał działkę. Zobaczywszy na skraju działki pomięty owies — rezultat nieudanego początku naszej pracy — z wyrzutem pokiwał głową. Chłopcy uważnie śledzili każdy jego ruch oczekując, co powie. Agronom jednak zwrócił się nie do chłopców, lecz ostro powiedział do mnie:

— Owies należy pleć ostrożnie, nie deptać niepotrzebnie nogami. Dlatego właśnie prosiliśmy internat, aby wysłał mniejszych chłopców. Ten owies będzie funduszem obrony dla czerwonej konnicy, postarajcie się pracować jak najlepiej.

Jeszcze raz obejrzał owies, poprawił kilka źdźbełek i orzekł wreszcie, że owies się podniesie. Po tych słowach pochwalił chłopców za to, że z korzeniem wyrywają chwasty, i jeszcze raz wyjaśnił, dlaczego to jest tak ważne.

Chłopcy otoczyli Iwana Fadiejewicza, zapewnili go, że będą już dobrze pleć i nie podepczą owsa. Dzieci znały nie tylko srogość Iwana Fadiejewicza, ale i jego dobroć. Jak należało oczekiwać, Iwan Fadiejewicz nie wytrzymał, ażeby nie obiecać dzieciom, że powozi je na koniach, jeśli dobrze będą pracowały.

Tego dnia chłopcy wrócili z pola zadowoleni i w podniosłym nastroju. Ich praca już w pierwszym dniu była uznana za dobrą.

Wiosną dzieci zbierały piołun jako ziele lecznicze, obecnie pełły piołun, jako chwast. Ażeby mogły dobrze uzmysłowić sobie swoją pracę, opowiedziałam im o górskim piołunie, który przynosi szkodę polom kołchozowym...

W stołówce internatu na widocznym miejscu wisi tablica. Na niej oznacza się codziennie, co każda z grup zrobiła: rozmiar działki, ilość dni pracy i ocena jakości pracy. Moja grupa starała się pracować dobrze. Chłopcy dążyli do tego, ażeby w ostatniej rubryce było napisane: „bardzo dobrze". Już w drugim dniu pracy osiągnęli to. Chłopcy długo stali przy tablicy, skierowywali uwagę zarówno dorosłych, jak i starszych wychowanków dyżurujących w stołówce na otrzymany przez nich stopień bardzo dobry.

Jakże martwiła dzieci ocena „dobrze" poprzedniego dnia! Wszak jeśli w ciągu tygodnia otrzymywałyby codziennie bardzo dobry stopień, uzyskałyby honor podniesienia czerwonego sztandaru internatu podczas apelu niedzielnego. Wszyscy obecni na apelu patrzą, jak powolutku i uroczyście podnosi się sztandar na wysoki maszt. Grupa, która otrzymała „bardzo dobrze", ustawia się koło masztu i wszyscy słuchają raportu o ich pracy i patrzą na nich z szacunkiem. Wszyscy wiedzą, że ta grupa ma prawo napisać teraz list na front w imieniu całego internatu. O tej grupie napisane będzie w gazetce ściennej internatu, a możliwe, że i w gazetce ściennej kołchozu. Pracować tak, aby we wszystkie dni otrzymywać „bardzo dobrze" i tym samym otrzymać prawo do podniesienia wielkiego sztandaru internatu na maszt — taka była decyzja dzieci. Pracowały one z wielkim uporem. Ten nowy nastrój wywoływał u dzieci samodzielność w pracy i umacniał wzajemną pomoc.

Obecnie moim zadaniem było — pomóc w umocnieniu prawidłowych nawyków. Od czasu do czasu robiłam uwagi dzieciom o ich metodach pracy. Zachęcałam i czyniłam uwagi poszczególnym chłopcom półgłosem i krótko. Nic nie powinno było naruszać nastroju dzieci, natomiast wszystko powinno było pomóc. Dążąc do tego, żeby zrobić jak najwięcej, dzieci mogły niepostrzeżenie przemęczyć się, co mogło zaszkodzić ich zdrowiu. Moim zadaniem było nie dopuścić do przemęczenia.

Korzystając z tego, że prawo do podniesienia sztandaru ma grupa, która otrzymała „bardzo dobrze" nie tylko za pracę, ale także za dobre zachowanie, mogłam utrzymać w grupie dobrą dyscyplinę i oddziaływać na poszczególne dzieci.

Dzieci pracowały z wielką gorliwością. Wieczorem z radością przeczytały w swojej rubryce „bardzo dobrze“. Ale taką samą ocenę miała także grupa starszych chłopców pracująca przy bronowaniu. To bardzo ostudziło moich chłopców. Wtedy kiedy starsi uważali za swój obowiązek pomóc reszcie i dumni byli z sukcesów całego internatu, młodsi chłopcy jeszcze nie dorośli do tego, ażeby się cieszyć osiągnięciami ogółu.

Ważne jest, ażeby dzieci nie tylko słyszały, co mówią dorośli o znaczeniu ich pracy, ale by powiedziały same o tym „swoimi słowami“.

Ażeby skierować świadomość dzieci na prawidłową drogę, zadecydowałam pisać z nimi listy do matek. W listach tych dzieci z pewnością doniosą matkom o tym, że pracują na polu „bardzo dobrze“ i że pomagają w ten sposób kołchozowi i frontowi...

Nie zapomniały również napisać i o sztandarze internatu.

Ale nie do nich należeć będzie zaszczyt podniesienia sztandaru. Jak na to zareagują? Możliwe, że popełniłam błąd nie stawiając „bardzo dobrze“, lecz tylko „dobrze“ za pierwszy dzień pracy? Nie, tu nie było pomyłki, zrobiłam to świadomie, celowo. Dzieci od pierwszych już kroków powinny wiedzieć, że tylko uporczywa, wydajna praca dla dobra ojczyzny zasługuje na prawdziwą uwagę. Powinnam pomóc dzieciom zrozumieć znaczenie słów: praca jest sprawą honoru, męstwa i bohaterstwa.

N. I. Żydkowa
(Tłumaczył *R. P. G*)

ZAGADNIENIE PRACY W PAŃSTWOWYM DOMU DZIECKA W JAWORZU

Dom nasz zaczęto organizować w maju 1946 r. Polegało to na załatwianiu formalności o przydział budynku z tym warunkiem że remonty pozostaly nietknięte.

Dzieci przyjechały w połowie listopada. Pomieszczono je w trzech szczupłych pokoikach, jakkolwiek było 5 budynków mieszkalnych. Wymagały one jednak dużego wkładu. Pracownice fizyczne były dwie. Pomoc dzieci w pracach była bardzo pożądana, jednak wychowankowie nie tylko nie zdradzali ochoty do działania, ale prowokowani z lekka, odpowiadali opryskliwie akcentując mocno swoją nienawiść do pracy.

Treść tych wypowiedzi była mniej więcej taka:

„Nie będę robił nic, bo mi się nie chce, bom się dość nastawał i nadźwigał u Niemców!“

Inny: „Nie będę nic robił z 10 lat; do niczego nie mam chęci. Będę jadł i spał“.

Albo: „Ja przez cztery lata końmi robił i nie będę teraz, choćby mnie bili. (Wszystko u Niemców).

Dziewczynki: „Proszę pani, musimy sprzątać? Oj! nam się tak nie chce“.

— Nie musicie — padała wtedy odpowiedź — nie musicie nic!

Odpowiedź nie mogła być inna.

Jako wychowawcy, wejrzeliśmy głęboko w przyczynę nienawiści dzieci do pracy i pojęliśmy, że tkwi ona w terrorze niemieckim, który dla dzieci polskich miał formę pracy nad siły, pod batem pruskim.

Daremnie oczekiwaliśmy zmian po przyjeździe drugiej grupy. Stosunek nowoprzyjezdnych do pracy był taki sam, jak grupy wcześniej przybyłych. A my czekaliśmy, aż dzieci uczują same potrzebę pracy mającej charakter wysiłku wolnego człowieka dla dobra własnej szczęśliwej przyszłości.

Wiadomo było, że dzieci, nie mając „skrystalizowanych pojęć“, rzekomo „nie wiedzą, czego chcą“, ale myśmy czekali na odruchy dzieci, które by świadczyły o ich wewnętrznej przemianie dokonywającej się na tle powrotu wolnych do wolnej Ojczyzny. Dzieci poza nauką wypełniały czas w wyremontowanej i ogrzanej świetlicy zabawami dowolnymi oraz grami zakupionymi na ten cel. Krótkowzroczni obserwatorzy nie mogąc znaleźć sensu w naszym postępowaniu ostrzegali nas przed skutkami rozprzężenia i lenistwa i... czekaliśmy wspólnie na wynik, tylko bardzo różniliśmy się postawą.

Tymczasem fama niosła, że zakładowe nic nie robią, że zakładowe tylko się bawią. — Ten stan rzeczy trwał do stajania śniegów, kiedy park otaczający zakład pokazał nader „smutne i zarośnięte oblicze“.

Dzieci zaczęły usuwać zeschłe badyle i samorzutnie sprzątać ścieżki.

Później zaczęły się zwracać do nas z różnymi pytaniami dotyczącymi uporządkowania parku. Wtedy wychowawca objął całość pracy w parku, podzielił ją na części odpowiadające dzieciom, razem z nimi chwycił za łopatę i nadał temu dużemu wysiłkowi cechę radości.

Dzieci, choć często bardzo utrudzone, nie śpieszyły się nawet na kolację, pracowały z ogromnym zapałem ciesząc się głośno wynikami i ostrzegając wzajemnie przed deptaniem klombów i trawników.

Bardzo chętnie poddawały się rozkazom wychowawcy i witały go entuzjastycznie, ilekroć pojawiał się wśród nich z narzędziami do pracy w parku.

Dziewczynki widząc, że pomocnica kuchenna skaleczyła sobie rękę, same zaofiarowały swoją pomoc. Zdarzyło się to w końcu kwietnia.

W chwili obecnej (koniec czerwca 1947 r.) dziewczynki nakrywają i sprzątają stoły, w porach posiłku zupełnie samorzutnie wyznaczają sobie dyżury i nikt z grona wychowawców nie ma wglądu w te sprawy.

Zaznaczyć należy, że nigdy nie zdarzyło się, aby dziewczynki zbagatelizowały lub przeoczyły ten samorzutnie przyjęty obowiązek.

Prace w parku posuwają się wydatnie naprzód, a obecnie przybyła praca w warzywniku, którą dzieci podejmują z radosnym zapałem. Tempo pracy jednak i czas jej trwania regulują dotychczas same dzieci. Udział wychowawców ogranicza się tu tylko do ostrzegania przed nadchodzącą burzą lub przypominania o porach innych zajęć koniecznych do wykonania w dniu bieżącym.

Jeśli się zdarzy, że dzieci okażą niechęć któregoś dnia do jakiejkolwiek pracy, pozostawia się je w zupełnym spokoju. Stan ten nie trwa nigdy dłużej ponad jedną połowę dnia i należy do rzadkości.

Jest on niezaprzeczalnym objawem, że dzieci „wypróbowują" swą wolność.

Mogę czy muszę? Tylko mogę! „Mogę" samo przerodzi się w „muszę", gdy dzieci pojmą, że przyszłość musi być szczęśliwa.

Ale to „muszę" nie będzie narzucone upodlająco i wykańczająco. To „muszę" będzie wykwitem poczucia wolności, będzie lotem ptaka, który własnowolnie musi wzlatywać ku słońcu.

* * *

Zmiana stosunku dzieci do pracy zaznaczyła się wydatnie i na terenie Domu. Obserwując je w ciągu roku (druga połowa maja 1948 r.) dostrzega się wyraźnie dwie cechy: osłabienie początkowego entuzjazmu, co jest zupełnie zrozumiałe, bo w takim szale radości, jaki towarzyszył dzieciom w pracy nad oczyszczeniem parku, nie mogły trwać bez zmian.

Drugą cechą jest poważny stosunek do pracy. Najsłuszniej przemówią tu cytaty. Dom nasz ma już od roku doprowadzone do stanu używalności 4 budynki, w tym 3 zamieszkałe przez dzieci, gdyż czwarty przeznaczony jest na biuro i mieszkania personelu administracyjnego. Wychowanków liczy nasz Dom obecnie 111, w tym dzieci starszych 30, licząc już i 12-letnich. Sprzątaczka

jest jedna, która ma do sprzątania budynek administracyjny i jedno piętro budynku zamieszkałego przez chłopców. Resztę sprzątają tylko dzieci. W sumie sal 40, 4 korytarze, 2 hole i werandy. Szorowanie odbywa się przeciętnie raz w tygodniu, bardzo często dwukrotnie. Ponadto pracują dzieci w warzywniku, który ma 8 ha powierzchni, a zatrudnionych jest w nim przeciętnie ponad 10 pracowników wynajętych. Dodać tu należy jeszcze pomoc dziewczynek w kuchni i ciągłe ich „przepieranie kolorów", gdyż w zakładzie jest jedna praczka, która nie może należycie wywiązać się ze swoich obowiązków.

Pracy tej nie organizują dzieci, ale wychowawcy, mając z tym sporo trudności, bo dzieci, jakkolwiek się od pracy nie uchylają, to jednak nie zawsze biorą się do niej zbyt entuzjastycznie. Ale pojmują przecież już to, że muszą pracować u siebie i dla siebie. Zdarza się nawet, że któryś wychowanek złości się i odpowiada opryskliwie, gdy ma jakąś pracę wykonać, ale tłumaczenia zawsze pomagają. Większość dzieci rozumie cel i sens pracy. W mniejszym zakresie umieją ją nawet doskonale zorganizować same, jakkolwiek całością kierują zawsze wychowawcy. Na nastrój i wyniki pracy wpływają znakomicie wszelkie atrakcje, jak poważniejsze występy dzieci, tzw. tańcówki i goście, co się oczywiście stosuje możliwie najczęściej.

Na ogół stosunek naszych dzieci do pracy, jeśli nie jest jeszcze całkowicie należyty, to zdecydowanie uległ dużej zmianie na lepsze, bo choć nie bez zastrzeżeń, ale jednak wszystko to, co powinno być zrobione w Domu, istotnie zawsze jest wykonane.

Helena Pisarkowa

ZAGADNIENIE PRACY W PROCESIE WYCHOWAWCZYM

Często słyszymy: chcemy wychować dzieci na ludzi pracy, chcemy rozbudzić w nich zamiłowanie do pracy.

Zdaje się, że wszyscy zgadzamy się co do wymienionego celu wychowawczego. Natomiast gdy przystępujemy do realizacji owych założeń, znika pierwotna jednomyślność, zaczynają się różnice zdań.

— Czy aby nie za ciężko, nie za dużo — mówią jedni.

— Trzeba hartować — mówią drudzy. I istotnie niełatwe to jest zadanie zająć dzieci ciekawą, samodzielną pracą, ale tak ją zorganizować, by nie kolidowała z nauką, nie pozbawiała dzieci wolnego czasu, zabaw, gier.

Nie chcę w tym miejscu teoretyzować o znaczeniu pracy, lecz pragnę podzielić się pewnym doświadczeniem naszego Domu Dziecka.

Pracę, jako jeden z głównych elementów wychowawczych, wprowadziliśmy u siebie świadomie, po gruntownym przemyśleniu sprawy. Jeśli chcemy, by dzieci nasze wyrosły na ludzi pracy, ludzi umiejących pracować, by wyrosły na entuzjastów pracy, a takich potrzebuje Polska Ludowa — musimy nawyki pracy i potrzebę pracowania zaszczepić od najmłodszych lat.

Stosownie do wieku, do możliwości i zainteresowań dziecka zaczęliśmy stawiać dzieciom konkretne zadania.

W naszym Domu Dziecka jest 69 dzieci, w tej liczbie 42 dziewcząt i 27 chłopców. Przeważnie są to dzieci w wieku 11—18 lat, których jest 52.

W r. 1946 założyliśmy gospodarstwo rolne i gospodarstwo mleczne, tzn. hodowlę krów z własną przeróbką mleka na przetwory mleczne, hodowlę świń z własnym przetwórstwem na wędliny, hodowlę kur, pasiekę, ogród warzywny, inspekty. Ziemi uprawnej mamy na razie 1 ha, ogrodu warzywnego 15 arów, 40 okien inspektowych. Zamierzamy w tym roku wziąć dodatkowo kilka ha ziemi w dzierżawę. Na fermie posiadamy 6 krów dojnych, 6 jałówek i 38 świń, 25 kur dużych i małych, 8 uli (z nich 7 zarojonych).

I dzieci rozumują tak: jeśli rozbudujemy to nasze gospodarstwo dostatecznie, by mieć własną bazę mleczną, mięsną, tłuszczową, warzywną, a nadto jeszcze trochę miodu, jaj — to przecież osiągniemy prawie samowystarczalność. A taka perspektywa zdolna jest wzbudzić w dzieciach ogromny entuzjazm, nadać sens każdej pracy wykonywanej przez nie w gospodarstwie; ta perspektywa osładza ciężkie nieraz i uciążliwe dyżury, jednym słowem, ta perspektywa warta jest wysiłku. Tym bardziej że same nie tylko pracują, ale ponoszą też pełną odpowiedzialność za całość i same ją sobie organizują. Nie jest to bezmyślna praca, gdyż ciągle widzą jej rezultaty. Chłopak, kierownik gospodarstwa, prowadzi ewidencję każdej krowy i na posiedzeniach sekcji gospodarczej ciągle przypomina, ile mleka udojono od każdej krowy w ciągu tygodnia, ile paszy zjadła, jaki był z niej zysk. Cieszą się wspólnie, gdy podnoszą się udoje; martwią się, gdy spadają; zastanawiają się nad przyczyną, szukają sposobów polepszenia doglądu czy jakości paszy. Dziewczynka, kierowniczka mleczarni, zdaje sprawozdanie, ile mleka wydała dzieciom na wypicie (oczywiście sama własnoręcznie rozdała, a nie żadna tam gospodyni), ile przerobiono na masło, ser, ile ewentualnie sprzedano sąsiednim zakładom.

Dzieci czują i widzą, że ich praca nie idzie na marne, że mają z tego pożytek, a w przyszłości będą miały jeszcze większy. Praca

nie tylko interesuje je, ale nawet pochłania. Ciągle przychodzą z nowymi pomysłami, nowymi planami: trzeba kurnik rozszerzyć, by jaj starczyło; trzeba więcej ziemi uprawnej, by paszy starczyło; trzeba oranżerię zbudować itp.

A ile radości i satysfakcji daje praca w ogrodzie. Niełatwa to rzecz na piaszczystym gruncie jak nasz, hodować warzywa, kwiaty. Trzeba dużo i usilnie pracować, by coś osiągnąć. Ale co może się równać ich satysfakcji i dumie, kiedy wbrew pesymistycznym prognozom ogrodnika — na tym właśnie piasku wyczarowały piękny, zielony kobierzec trawników i kwietników, kiedy cały dom wprost tonie w kwiatach, kiedy zbierają obfity plon. Z jaką dumą ogrodnicy przynoszą swoje pomidory, ogórki, rzodkiewki i inne bogactwa. To przecież swoim potem zdobyli, jakie to smaczne. A z jaką miną bohaterów przynoszą wprost z frontu (z uli) plastry z miodem. Niektórzy już nawet bez odzieży ochronnej podchodzą do pszczół, a jeśli zostają użądleni, mężnie znoszą to, nawet okiem nie mrugną. A jak one lubią — zwłaszcza te młodsze — opiekować się prosiętami, kurczętami. Nie, nie ciąży im ta praca.

Niektórzy z kolegów boją się, że praca pozbawi dzieci radości życia. Na odwrót, praca, odpowiednio zorganizowana, umiejętnie dostosowywana do wieku i zainteresowań dziecka, jest właśnie radością życia.

Przytoczone powyżej przykłady są wzięte z pracy w gospodarstwie, w ogrodzie, w pasiece. Można również przytoczyć przykłady innej pracy wykonywanej przez dzieci, np. w warsztatach. Praca ta ma nieco odmienny charakter niż w gospodarstwie czy w ogrodzie. O ile ta ostatnia jest w zasadzie zespołowa, pracują razem całymi grupami, brygadami, jeden o własnych siłach niewiele wykona, istnieje współzależność i konieczna harmonijna współpraca mniejszego lub większego zespołu dziecięcego, o tyle praca w warsztatach, jak krawiecki, introligatorski, stolarski, tkacki, czy foto-retuszerski, nosi w zasadzie charakter indywidualny. Lecz i tutaj, a raczej właśnie tutaj stosujemy metodę całkowitej odpowiedzialności indywidualnej za powierzoną pracę. Dziecko pracujące w danym warsztacie nie ogranicza się nigdy do wykonania tylko fragmentu wyrabianego przedmiotu, lecz wykonuje go w całości, od początku do końca.

Wykonując pewną pracę od początku do końca, dziecko uczy się pokonywać trudności, przewidywać je i rozplanować użytecznie swój wysiłek, wyrabia się w nim praktyczny zmysł i zaradność, hartuje się jego wola i charakter. Oczywiście, że w społeczności dziecięcej moment współzawodnictwa ma wybitne znaczenie.

Każdy ma ambicję pokazać się przed kolegami, nie pozostawać w tyle za innymi, raczej chce wybić się, wyróżnić. Umiejętnie wyzyskany, może moment ten oddać nam znaczne usługi. I tutaj praca musi być dostosowywana do wieku, zainteresowań i możliwości dziecka. Małe dziecko chętnie plecie ze sznurków, lepi z papieru; chłopcy już od 8 lat interesują się stolarstwem: będzie to z początku wózeczek, taczka, domek dla ptaków, a później coraz poważniejsze zabawki i przedmioty codziennego użytku, jak półki, ławki, taborety, stoły itp. Dziewczynki najchętniej zajmują się tkactwem, krawiectwem. Oczywiście stopniuje się ich pracę i konkretne zadania stawiane im są zależnie od zainteresowań. Starsi z ochotą zajmują się foto-retuszerstwem.

Ale wszędzie i zawsze ta sama zasada — indywidualna odpowiedzialność za pełne i całkowite wykonanie powierzonego zadania.

W oparciu o praktyczne osiągnięcia w naszym Domu Dziecka — dochodzę do następujących wniosków:

Człowiek wyrasta na takiego, na jakiego go rodzina, szkoła, społeczeństwo wychowują. Rodzina jest najmniejszą komórką społeczeństwa. W naszym wypadku jest nią Dom Dziecka. I można bez obawy przesady powiedzieć, że my, wychowawcy, decydujemy o charakterze i przyszłym obliczu moralnym naszych wychowanków — jutrzejszych obywateli.

Byt kształtuje świadomość, środowisko, warunki rozwoju wpływają na charakter. Stwarzając więc określone środowisko, warunki i określony klimat wychowawczy urabiamy charakter i świadomość naszych wychowanków. Tym większa jest nasza odpowiedzialność przed społeczeństwem, przed państwem.

Powróćmy do roli pracy w wychowaniu i naszych osiągnięć. W naszym miniaturowym społeczeństwie szanuje się bardzo człowieka pracy. Dzieci najlepiej pracujące są najbardziej szanowane i mają wszędzie decydujący głos. Natomiast bardzo niedobrze czują się nieroby i leniwcy. Atmosfera panująca w Domu wyraźnie nie sprzyja „pasożytom", tzw. przez dzieci „gościom", tzn. dzieciom niechętnie biorącym udział w pracach Domu i uchylającym się od odpowiedzialności. Nasze dzieci marzą o samowystarczalności gospodarczej Domu i z uporem dążą do tego celu. Niezależnie od tego, czy cel ten jest realny, czy nie, czy zostanie w pełni, czy tylko w części osiągnięty, samo dążenie do tego celu i praca dla jego osiągnięcia ma wybitnie wychowawcze znaczenie.

Bo o czym myślą dzieci? O tym, by własną pracą zarobić na utrzymanie swoje i całego Domu. Czyli kształtuje się charakter

człowieka pracowitego, twórczego, gotowego do pracy dla siebie i dla dobra społeczeństwa. Dzieci coraz głębiej rozumieją, że praca w rozmaitych jej formach jest źródłem wszelkich dóbr na ziemi, dźwignią postępu i kultury ludzkiej i że człowiek pracy jest wobec tego powołany do decydowania o losach świata. Nasze dzieci będą ludźmi pracy umiejącymi radzić sobie w różnych okolicznościach życiowych i pokonywać trudności życiowe. Staramy się przygotować je do tego i fizycznie, i psychicznie. Oto radzą sobie już dziś nieźle w nieraz dość skomplikowanych pracach w domu: sprzątają swoje pokoje, ścielą łóżka, zamiatają, ścierają kurz, utrzymują w porządku łazienki i ubikacje, podlewają doniczki, przygotowują samodzielnie śniadania dla wychodzących do szkoły, wstając o 5 godzinie. Sprzątaczki sprzątają korytarze, jadalnię, świetlice, froterują podłogi. W niedzielę i święta, czyli w dni wolne dla pracowników, dzieci same sprzątają **w całym** domu. W kuchni dzieci nie pracują, tylko dorywczo pomagają przy obieraniu warzyw i zmywaniu naczyń. Do stołu same podają od najmniejszych poczynając.

Należy dodać, że wszyscy są dobrymi uczniami w szkole (wyniki roku szkolnego napawają nas dumą). Dzieci wykazują dużo samodzielności, dużo hartu, zaradności i pomysłowości, radzą sobie doskonale na pierwszym obozie harcerskim. O tym świadczy również fakt, że nasi chłopcy jako junacy Służby Polsce nie przynoszą nam wstydu swoją pracą.

Nasze zyski. Niewielkie one są na razie, gdyż nie mając jeszcze pola kupujemy całą paszę, trudno też ująć globalny dochód w stosunku miesięcznym, gdyż nie można uwzględnić przypłodu, zwłaszcza w gospodarstwie mlecznym.

Są wielkie wahania, niemniej jednak czysty dochód gospodarstwa naszego w pierwszym półroczu br. — bez uwzględnienia przypłodu — wynosi około 120 000 zł. Gdyby doliczyć do tej sumy straty poniesione przez gospodarstwo w tym okresie — jak strata krowy, zgnicie kopca ziemniaków (razem na sumę około 80 000 zł) — to otrzymalibyśmy dochód 200 000 zł za półrocze; bardziej przekonywający będzie bilans roczny.

Zysk jest sprawą ważną. Ważniejszy jest dla nas aspekt wychowawczy tego zagadnienia.

A jaka jest nasza rola — rola wychowawców i rola samorządu dziecięcego — o tym w następnym artykule.

Bernard Wajsbrod

Śródborów

WIESZADŁO NA SZCZOTKI

Należało dać nagłówek: dyżury. Wolałem napisać: wieszadło na szczotki, aby podkreślić, że dyżury nie mają wartości, jeśli jednocześnie nie wywalczymy w społeczeństwie szacunku dla szczotki do zamiatania, ścierki, kubełka i śmietniczki.

Narzędzia pracy ręcznej zdobyły już sobie pewien szacunek. I jakkolwiek książka nadal zajmuje stanowisko uprzywilejowane, już młotek, strug, obcęgi wyszły z ukrycia w ciemnym kącie, ze skrzynki pod łóżkiem, a maszynę do szycia wpuszczono na pańskie pokoje.

W domu sierot wywlekliśmy szczotkę i ścierkę ze schowanka pod schodami, umieściliśmy nie tylko na widoku, ale na honorowym miejscu przy frontowym wejściu do sypialni. I rzecz dziwna — w świetle dnia wyszlachetniało, uduchowiło się to pospólstwo, mile wzrok pieści swym estetycznym wyglądem.

Dwie sypialnie mają sześć szczotek do zamiatania. Gdyby było ich mniej — iluż sporów, kłótni i bójek bylibyśmy świadkami. Jeżeli stoimy na stanowisku, że dobrze wytarty stół jest równoznaczny z dobrze przepisaną stronicą; jeżeli dbamy nie o to, by praca dzieci zastąpiła najemną pracę służby, ale by wychowywała i kształciła je — musimy nie byle jak, ale gruntownie ją zbadać, wypróbować, podzielić między wszystkie i czuwać, i zmieniać, wiele myśli poświęcić.

Sto dzieci — stu pracowników porządku i gospodarstwa, sto poziomów, sto stopni siły, umiejętności, temperamentów, właściwości charakteru, woli dobrej czy obojętnej.

Uregulować dyżury — to nie początek, a zakończenie pracy organizacyjnej, nie — „pomówienie" jednokrotne z dziećmi, a kilkumiesięczna praca rąk i twórczej myśli.

Przede wszystkim trzeba znać pracę i znać dzieci. Widziałem w internatach takie nieprawdopodobne niechlujstwo w podziale pracy, że dyżury demoralizowały, nękały, uczyły dzieci nienawiści do wszelkiej pomocy.

Janusz Korczak

ŚWIĘTO PRACY

Po raz drugi od czasu założenia naszego Domu Dziecka uczciły dzieci nasze święto 1 maja dniem samodzielności, wychodząc z założenia, że dzień 1 maja to nie tylko dzień Święta Pracy — święta ludu pracującego, ale przede wszystkiem dzień pokazu jego siły i wytworzonych przez niego wartości. Wartościami tymi dla

nas, pracowników, i dla naszych dzieci było ich „sobieradztwo“, którym w tym dniu chciały się popisać.

Prawie ze dwa miesiące przed pierwszym maja intrygowała je myśl, czy też pozwoli im się w dzień Święta Pracy zorganizować dzień samodzielności, naradzały się, jakich też gości zaprosić — czy przyjedzie „Wujek“ (wizytator), czy będzie Pan Naczelnik, czy przyjedzie opiekująca się nimi młodzież z Bydgoszczy i wiele innych pytań oraz zagadnień zaprzątało ich umysły.

Na miesiąc przed 1 maja został z inicjatywy Wieśka zorganizowany ściślejszy komitet dziecięcy obchodu święta samodzielności, złożony z pięciu chłopców i dwu dziewczynek. Komitet ten przedstawił mi swoją prośbę oraz plan organizacji swojej imprezy. Chętnie też skorzystały dzieci z moich rad i uwag i uwzględniły je w swoim planie.

Teraz zaczęło się już dokładne przygotowanie do przyjętych obowiązków. Zenek, Jędrek i Fredek zrywali się o świcie z łóżka, aby pod okiem robotnika oczyścić i nakarmić konie; Edek, Mietek i Michaś pracowali przy naszych krówkach; Maryna z Wandą i Cesią częściej zaglądały do kuchni, „bo to ugotować dla małej rodziny nie sztuka, ale tylu ludzi wyżywić i jeszcze gości... i każdy będzie umyślnie kosztował, to naprawdę sztuka i kłopot, a do tego, jak to zdjąć ten duży garnek z ziemniakami z kuchni, taki ciężki“... Wojtek, Jadzia i Paweł uważniej obserwowali prace swojej wychowawczyni i z góry obmyślali, jak to oni w tym dniu ciekawie i interesująco zorganizują swoje prace wychowawcze. Bronia i Eda nie stroniły już tak od szwalni — interesowało je, ile płótna potrzeba na uszycie koszulki dla Jasia, czy zdołają dla tych chłopczyków wyłatać spodnie. Kazik, nasz ogrodniczek, ze swoim sztabem najpilniej słuchał wykładów ogrodnika — jego zeszyt ogrodniczy i rysunki w nim są najpiękniejsze, wypieszczone, a jedyną jego zmorą jest fakt, że komitet przydzielił mu na pomocnika największego leniucha, Staszka. Kazik jednak odgraża się, że sobie z nim poradzi... Zbyszek z swoimi maluchami przysięga na „brodę proroka“, że dopiero w dniu 1 maja podwórze i park będą czyste. Rozrzucone w tyralierkę maluchy zbierają porzucone przez siebie papiery i słomki. Najmniej kłopotów i zmartwień ma gromada odpowiedzialna za czystość pomieszczeń, bo przecież swoje sypialnie i świetlice same sprzątają codziennie, więc nabrały już wprawy, a że tam przybył jeszcze korytarz czy też ustępy — to małe zmartwienie. Wiesiek, przewodniczący komitetu, wszędzie wnika, sprawdza, bada, czy zdobyte wiadomości i doświadczenie wystarczą do udania się ich imprezy. Organizuje odprawy: chwali pilnych, wymyśla leniuchom i śpiochom, a czas szybko leci. Już

30 kwietnia. Popołudnie. Biało-czerwony sztandar łopoce już na wietrze. Zaczyna się akademia pierwszomajowa: przemówienie, śpiewy, tańce, deklamacje, potem zabawa taneczna, powitanie pierwszego gościa, przekazanie dzieciom „urzędowania“, nakręcenie budzika i sen...

A wcześnie rano nasze Wieśki, Zbyszki, Wojtki i Marysie przejęli faktycznie władzę w Domu Dziecka i my starsi, jakkolwiek wolni od pracy, również wstaliśmy wcześnie, aby obejrzeć wyniki naszej pracy, a w razie potrzeby podać pomocną dłoń, drżąc nieraz z obawy, czy też naszym dzieciom powiedzie się dobrze, przekonani, że niepowodzenie mogłoby wpłynąć ujemnie na ich wiarę we własne siły; ale praca szła składnie. Poznać, że zgłębili tajemnice zegara, idee planu i jego wykonanie. Godzina 6.30 — konie, krowy i świnki nakarmione; godzina 7.15 — śniadanie podane; godzina 7.30 — pięknie biało-czerwonymi wstążkami przystrojone konie, gotowe do wyjazdu w pole; jeszcze z Bolkiem sprawdzamy, czy Lalka i Baśka (nasze koniki) są dobrze wyczyszczone — jeszcze gromki okrzyk „hurrra“ i wyjechali!

Maluchy śpiewają „Naprzód wesoło“, więc idziemy. Od czasu do czasu mignie przed oczyma szczęśliwa, roześmiana buzia małego robotnika — każdy śpieszy się, każdy wysila, bo „dzisiaj wszystko musi być najlepiej“. Widzimy, że Maryna i jej sztab kuchcików ociekający potem miesza zupę w kotle, obiera ziemniaki, „rabarbar“, zmywa podłogi — śpieszy się, bo obiad musi być gotów na godzinę 13. Widzimy, że Jadzia pięknie prowadzi zajęcie w przedszkolu, a Wojtek organizuje najmłodszym szkolniakom zabawę na boisku; one lgną do niego; że gromada Pawła niechętnie wychodzi ze świetlicy, zasłuchana w opowiadanie; Olga niedokładnie starła kurz w sypialni, Stach zostawił bluzkę pod poduszką. Wyruszamy w pole, uzbrojeni w aparat fotograficzny. Tu wyprzedziła nas już inna „komisja“... Wiesiek i Bolek (komisja kontrolna) sprawdza i ocenią prace. Dumnie chodzą nasi mali gospodarze za końmi i zdaje się nam, że koniki nasze dzisiaj stąpają jakoś inaczej, jakoś raźniej, pług przewala czarną skibę ziemi, brona rozrywa grudy, a maluchy wybierają perz. Chwytamy na klisze parę obrazków. Mikrusy zamawiają sobie zdjęcia i idziemy na „gospodarkę“. Tutaj Edek i Mietek podprowadzają do przeglądu swoje krówki. Edek głaszcze Czerwoną, a nam patrzy w oczy i chciałby wyczytać w nich pochwałę.. dostaje!... odetchnął! — Potem znowu fotografia, lecz z naszych krów nie będą nigdy artystki filmowe, bo uciekły przekładając pachnące siano nad szkiełko obiektywu. Ach, jak ten czas leci! Już obiad. Smaczny, dobry, bo to „nasi“ gotują, a dla zadokumentowania swojej sympatii dla kuchni

nawet resztek nie zostawili, czym bardzo zasmucili Jędrka i Michasia, bo co też zostanie dla ich świnek. Należy jeszcze zajrzeć do szwalni. Tam też czekają na ocenę ich pracy. Wychodzimy do parku i ogrodu trochę odetchnąć... ale Zbyszek już prezentuje swoją gromadę „śmieciarzy“, a oczy maluchów zdają się mówić: „Spróbuj znaleźć choćby jeden papierek“, ale z obawą patrzą na wiatr, czy też im jakiego nieszczęścia nie przyniesie. Teren między porzeczkami pięknie skopany, szpinak zasiany, tylko Staszek „patrzy wilkiem“ — widocznie Kazik sobie poradził...! Czas mija szybko. Podwieczorek, już kolacja. Krótka narada z komitetem, uchwalamy zakończyć dzień zabawą i tańcami.

Do późnego wieczora młodzi i starzy bawili się i tańczyli, szczęśliwi i zadowoleni z dobrze spędzonego dnia.

Gong! Idziemy spać. Za pół godziny już wszystkie dzieci śpią, zmęczone trudem dnia. Wprawdzie Zenek jeszcze wykrzykuje na koniki, Kazik gromi Staszka, a Maryna woła, że mleko wykipi, ale... to już tylko we śnie...!

Kubrakiewicz

Kijaszkowo

PRACA ZAROBKOWA WYCHOWANKÓW DOMU MŁODZIEŻY

Zagadnienie posiadania przez naszych wychowanków własnych pieniędzy, którymi mogliby według swych indywidualnych potrzeb i woli dysponować, stanowi bardzo popularny temat rozmów wśród wychowawców.

Wiadomo, że dom dziecka czy dom młodzieży, podobnie jak dom rodzinny, zaspokaja zasadnicze potrzeby życiowe wychowanków, żywiąc ich, dając odzież, łożąc na wykształcenie i organizując życie kulturalne. Istnieje jednak dziedzina drobnych wymagań osobistych, dla każdego wychowanka innych, decydujących o jego własnym stylu życiowym, wynikających z praktycznych potrzeb chwili lub pochodzących z indywidualnych zamiłowań i zainteresowań młodzieży, których zakład wychowawczy nie może zaspokoić bezpośrednio. Młodzież wychowująca się w normalnych warunkach domowych otrzymuje wiele drobiazgów od rodziców w formie podarunków przy różnych okazjach. Chodzi zwykle o słodycze, przybory szkolne, książki, części ekwipunku wycieczkowego itp. Dziewczęta otrzymują dzięki temu torebki, zapinki do włosów czy wstążki. Podarunkami takimi mogą rodzice zaspokajać indywidualne marzenia najliczniejszej nawet gromadki swoich dzieci. Niezależnie od tego otrzymują dzieci od rodziców drobne sumy, i to z czysto praktycznych względów.

Obdarowywanie młodzieży na terenie zakładu nastręcza trudności wychowawcze. Łatwo może przybrać charakter urzędowego, należącego się każdemu przydziału, z którego tylko część młodzieży otrzymuje to, co jest naprawdę potrzebne lub co zaspokaja pragnienie posiadania czegoś. Jeśli chodzi o własne fundusze młodzieży zakładowej, to sprawa jest bardzo trudna. W zakładzie przebywa wprawdzie pewna ilość wychowanków, którzy otrzymują drobne kwoty pieniężne z zewnątrz od znajomych lub krewnych; ale tym przykrzejsza jest sytuacja wychowanków nieposiadających żadnych źródeł, z których mogliby być w pieniądze zaopatrzeni. W budżecie zakładu nie przewiduje się żadnej kwoty na drobne wydatki osobiste młodzieży.

Wydaje się, że najbardziej właściwym i mającym wychowawcze walory sposobem zdobycia pieniędzy jest praca zarobkowa. Możliwości w tym zakresie są liczne, zarówno w zakładzie, jak i na zewnątrz. Wychowankowie reprezentują na ogół szeroki wachlarz talentów, zamiłowań i umiejętności. Potrafią pracować w polu i w ogrodzie, piłować i rąbać drzewo, naprawiać obuwie, bielić ściany, strzyc i golić, malować, rysować itp. Umiejętności i praktykę zdobywa młodzież współpracując z kolegami zaawansowanymi w poszczególnych działach pracy. Jest oczywiście wskazane, by fachowcy przyuczali wychowanków do pracy zgodnej z ich zamiłowaniami.

Zarobkować poza zakładem mogą oczywiście wychowankowie tylko wtedy, gdy kierownictwo zakładu ma pewność, że praca będzie się odbywała w warunkach korzystnych z wychowawczego i zdrowotnego punktu widzenia, a także, że młodociani pracownicy nie staną się przedmiotem wyzysku. Rodzaj pracy musi być zastosowany do wieku młodzieży. Nie należy zapominać, że pierwszym i zasadniczym obowiązkiem naszych wychowanków jest nauka, która w żadnym wypadku nie powinna ucierpieć z powodu pracy zarobkowej. Przeciętnie osiem do dziesięciu godzin pracy zarobkowej tygodniowo da się pogodzić z koniecznością odrabiania lekcyj przez ucznia szkoły średniej w czasie roku szkolnego. Oczywiście ilość godzin pracy uzależnić trzeba również od tego, jak sobie wychowanek radzi z nauką.

Bardzo wskazane jest angażowanie się młodzieży starszej (powyżej lat 16), przede wszystkim dobrze fizycznie rozwiniętej i zdrowej, do pracy w czasie wakacji. Po dziesięciomiesięcznej intensywnej nauce w szkole daje praca fizyczna bardzo korzystne wyniki dla zdrowia oraz odpoczynek psychiczny. W sezonie letnim można łatwo pogodzić konieczność zarobku z obywatelskim

udziałem w odbudowie kraju, akcji żniwnej itp., które wymagają dziś nieograniczonej ilości rąk do pracy.

Na terenie zakładu krzeszowickiego stwarza możliwości pracy zarobkowej wciąż rozbudowująca się Spółdzielnia Pracy przy Samorządzie Młodzieży. W jej ramach powstały pracownie: szewska, fryzjerska, introligatorska, rysunkowo-dekoracyjna, fotograficzna, oraz pogotowia krawieckie i elektrotechniczne. Spółdzielnia prowadzi również sklep oraz Bank Spółdzielczy. Z funduszów Spółdzielni zostały zakupione konieczne narzędzia pracy. Poszczególnymi pracowniami kierują wychowankowie, którzy mieli w życiu okazję do zdobycia potrzebnych umiejętności lub uzyskali je już w zakładzie. Opiekę nad pracowniami zlecono wychowawcom i nauczycielom, zgodnie z ich formalną specjalnością lub amatorstwem. Pracownia introligatorska znajduje się pod fachowym nadzorem specjalnie zaangażowanego instruktora, prowadzącego również systematyczne kursy introligatorskie dla młodzieży zakładowej. Do tej pory głównym klientem warsztatów jest zakład oraz młodzież. W zakres planów Spółdzielni wchodzi ciągłe pogłębianie umiejętności fachowych poszczególnych zespołów przez kursy bądź przez dozór uproszonych fachowców. Zarobione fundusze w połowie przechodzą na własność Spółdzielni, w połowie natomiast przypadają wychowankowi, który je zapracował.

Doświadczenie uczy, że młodzież jest skłonna do lekkomyślnego wydawania pieniędzy, zwłaszcza pochodzących z dotacji. W mniejszym stopniu dotyczy to funduszu zarobionego własną pracą. Dziedzina wydatkowania własnych pieniędzy przez młodzież musi być przedmiotem szczególnej uwagi i systematycznej kontroli wychowawcy. Wszyscy wychowankowie mają swoje konta w zakładowym Banku Spółdzielczym, z których nie można jednorazowo podjąć bez zezwolenia wychowawcy więcej niż 250 zł. Niektórzy wychowankowie prowadzą zasługujące na powszechne zastosowanie dzienniczki wpływów i wydatków. Z innymi trzeba ich skromny preliminarz budżetowy omawiać i sprawdzać, czy został konsekwentnie wykonany.

Dobre rezultaty może dać zlecenie wychowankom zaopatrywania się w pewne potrzebne w życiu codziennym a łatwo zużywalne artykuły bez uciekania się do pośrednictwa zakładu. Chodzi tu np. o pastę do zębów i do obuwia, sznurowadła itp. Doświadczenie wykazało, że takie artykuły, nabywane bezpośrednio przez wychowanka, są ekonomiczniej i bardziej celowo użytkowane.

Reasumując chciałbym powiedzieć: dążmy do tego, by nasze dziewczęta i chłopcy mieli własne pieniądze. Uwolni nas to od

wielu drobnych co prawda, ale bardzo uciążliwych kłopotów i trosk. Młodzieży ułatwi kontakt z życiem i nauczy „wiązać koniec z końcem“. Da jej radość i satysfakcję. Satysfakcję dlatego, że pieniądze będą zdobyte własną, rzetelną pracą.

Władysław Śmiałek

ZAROBKOWANIE MŁODZIEŻY

Zarobkowanie młodzieży i dzieci w domach dziecka jest zagadnieniem, które „spędza sen z powiek“ niejednemu wychowawcy. Potrzeby młodzieży i dzieci — mniejsze lub większe, ale są zawsze i środki, za pomocą których te potrzeby bywają realizowane, z przyczyn tak ekonomicznych, jak i przede wszystkim wychowawczych są bardzo ważne. Domy dziecka są już obecnie tak sytuowane, że pytanie „skąd wziąć?“ jest raczej już nieaktualne, powstaje natomiast drugie, niemniej ważne „jak dać?“. I tu właśnie sprawa zarobkowania, jako najbardziej zdrowa moralnie dawka na potrzeby osobiste, wysuwa się na czoło tego zagadnienia.

Postaram się przedstawić pokrótce, jak ta sprawa wygląda w naszym Domu. Charakter naszego Domu jest taki, że najmłodsze z dzieci liczy sobie 12 lat, jest to zatem dom młodzieżowy. Młodzież uczęszcza do wszystkich typów szkół, jakie znajdują się na Wybrzeżu. Duży procent stanowią tzw. „zawodowcy“, którzy poza szkołą odbywają praktykę zawodową, oczywiście płatną. Zarobki te chłopcy składają zarządowi wybranemu przez siebie. Opiekunką zarządu jest wychowawczyni, której zresztą życzyli sobie sami, a to ułatwia nam wejrzenie w gospodarowanie zarobkowe.

Prócz wydatków na kino, teatr oraz niewielkiej sumki — ot tak sobie, na drobne wydatki — do kieszeni, żeby czuli, że mają własny grosz, chłopcy przygotowują sobie wyprawki na własne gospodarstwo, a więc garderobę, bieliznę osobistą i pościelową itd. Zarobki te, jakkolwiek zużyte przez nich, są jednak pomocą w gospodarce domowej w tym znaczeniu, że łatwiej jest rozwiązać sprawę „na drobne wydatki“ niezarobkującym, a przecież są i tacy.

Do nich należą przede wszystkim uczniowie szkół powszechnych i ogólnokształcących, którzy z różnych powodów nie mogą zarabiać poza domem. Zarabiają więc w domu wykonywając różne prace, do których trzeba by wynająć obce osoby. Przykłady: trzeba przywieźć produkty żywnościowe zakupione w sklepie. Za przewóz należy zapłacić 300 zł. Przewożą to chłopcy zarabiając 300 zł. Podobnie jest z ładowaniem węgla, koksu. Albo trzeba kupić szufelki do mąki, kaszy czy cukru. Chłopcy robią je z puszek po użyciu produktów, co daje również paręset złotych.

z

Nie znaczy to wcale, że wszyscy chłopcy nie pracują w miarę ich możności dla Domu, ale ponieważ wydatki zmniejszają się wskutek tego, że zarabiający płacą sami np. za szycie ubrań, więc można ułatwić zarobek w Domu reszcie chłopców, nie przyzwyczajając ich do brania darmo; wreszcie samopoczucie ich jest lepsze, że i oni mogą sami zarobić.

Stosowaliśmy tę metodę również i wtedy, gdy nie mieliśmy jeszcze zarobkujących. Jest to łatwa metoda, należy ją jednak bardzo umiejętnie stosować, by nie weszło w zwyczaj, że za wszystko trzeba płacić i że chłopcy nie chcą nic robić darmo. Można tego uniknąć rozkładając bezinteresownie wykonywaną pracę dla wspólnego dobra na wszystkich równomiernie i proporcjonalnie do możliwości wykonania.

Adam Macieja

PRACA ZAROBKOWA NASZYCH DZIEWCZĄT

Praca zarobkowa wychowanek (Domu Dziecka ,,W Słońcu") nie jest prowadzona stale ze względu na zdrowie i naukę.

W listopadzie zakład nie mógł wyasygnować pieniędzy na składki do szkół związane z wyjazdem wychowanek ze szkołami do Warszawy na wystawę i do teatru, na wycieczki do Częstochowy, Łodzi i Łowicza.

Brak było pomocy szkolnych i urządzeń do świetlicy—stołów, ławek, szafki na biblioteczkę i pisma. Odbijało się to bardzo na nauce wychowanek. Szatnia mieściła się na nieprzystosowanym, zimnym strychu; bielizna, ubranie i książki w tekturowych pudłach UNRRA na tymże strychu. Po prostu bieda zmusiła do pracy zarobkowej.

Wszystkie wychowanki przeszły dwumiesięczny kurs trykotarstwa i kroju. Nawiązane zostały kontakty ze sklepami robót ręcznych w Warszawie, skąd otrzymywałyśmy zamówienia i wełny. Wychowanki przyjmowały roboty od koleżanek i nauczycieli ze szkół oraz od najbliższego otoczenia sąsiadów. Wykonywane były: swetry we wzory, kamizelki, czapeczki zakopiańskie i rękawiczki, szaliki na ramach, reformy, rajtuzy, sweterki dziecinne, pończochy, skarpetki, pantofle nocne.

Ceny były dostępne, tak że zamówień na roboty otrzymywano więcej, niż można było wykonać.

Wychowanki mogły przeciętnie zrobić 2 swetry lub 6 par rękawiczek miesięcznie (1 500 zł robota 1 swetra i 200 zł robota 1 pary rękawiczek). Pieniądze za wykonane roboty otrzymywały wychowanki do swej dyspozycji. Znając jednak trudności materialne

zakładu, samorzutnie ustaliły na zebraniu samorządu, że część swoich zarobków będą wpłacały do kasy zakładu na najpilniejsze potrzeby i braki. Przeciętnie każda wychowanka wpłacała 450, 500, 600 i 900 zł miesięcznie; były takie, które mając bardzo duże potrzeby własne wpłacały niestale. Wychowanki na zajęciach świetlicowych przygotowały przedstawienia połączone z tańcami ludowymi; przedstawienia te były odegrane 8 razy. 3 razy bezpłatnie dla mieszkańców wsi Żelazna, w której dziewczynki przebywały w r. 1944, dla dzieci i pracowników browaru i dla Skierniewickiego Hufca Harcerek.

Zarobki wychowanek w pierszym kwartale wynosiły 42 820 zł i zostały zużyte na zakupienie stołu i ławek do świetlicy, na zakupienie 2 szafek do łazienek oraz pokrycie częściowych kosztów pogrzebu Stefanii Kaczkowskiej, wychowanki Domu Dziecka „W Słońcu".

Zofia Meyer

Wyjątki z artykułu

PRACA WYCHOWAWCZA W MOSKIEWSKIM DOMU PIONIERÓW

A. Achapkina, N. Panowej, S. Strumina, umieszczonego w czasopiśmie *Sowietskaja Pedagogika* nr 4 — r. 1948.

...Moskiewski Dom Pionierów jest nie tylko ośrodkiem metodycznym pouczającym o pracy w pionierskich organizacjach, ale jest także swoistą szkołą dla aktywu pionierów, a także ośrodkiem organizującym pracę świetlicową uczniów, miejscem, gdzie samodzielność, aktywność pionierów i uczniów ma jak najszersze zastosowanie, gdzie realizuje się różnorodna i wieloraka praca w dziedzinie komunistycznego wychowania dzieci...

Ponad 4 tysiące dzieci Moskwy w godzinach wolnych od nauki szkolnej kształci się w różnorodnych kółkach i pracowniach pod kierunkiem doświadczonych instruktorów. Ponad 35 tysięcy dzieci miesięcznie korzysta z masowych politycznych i kulturalnowidowiskowych imprez Moskiewskiego Domu Pionierów.

Klub Młodych Radioamatorów

Klub Młodych Radioamatorów zdobył sobie olbrzymią popularność i sympatię nie tylko wśród pionierów i uczniów Moskwy, ale także szerokich rzesz dzieci całego kraju. Codziennie pod adresem Moskiewskiego Domu Pionierów napływa najmniej 30 listów ze

wszystkich krańców Związku Radzieckiego. Zainteresowanie pracą Klubu dorosłych specjalistów, radioamatorów, nauczycieli fizyki moskiewskich szkół jest poważne (nauczyciele raz w tygodniu mają zajęcia w naszym radiolaboratorium).

Popularność Klubu, naszym zdaniem, objaśnić można następującymi przyczynami: Klub zaopatrzony jest w najnowsze wynalazki w dziedzinie radia (radiolokacja, radioregulatory itp.), które wzbudzają wielkie zainteresowanie i skupiają uwagę pionierów i uczniów; radio miało ogromne znaczenie w okresie wojny, ma nadal znaczenie w pięcioletnim planie pokojowego budownictwa. Centralny Klub Radiowy i redakcja czasopisma **Radio** okazywały pomoc i opiekowały się naszą pracą.

Klub Radiowy ma swój statut i własny zarząd. Składki członkowskie wpłacane są w formie konkretnych prac pionierów i uczniów w dziedzinie radiotechniki (detektory, radioodbiorniki lampowe, odbiorniki własnej konstrukcji).

Dla kandydatów na członków Klubu przeprowadza się cykl teoretycznych lekcji: „Znaczenie radia w pięcioletnim planie gospodarstwa narodowego", „Jak konstruować radioodbiorniki", „Detektory" itd.

Oprócz tego Klub Radiowy urządza systematyczne spotkania „przy stole klubowym". Na te spotkania zapraszani są członkowie i kandydaci na członków Klubu, uczestnicy szkolnych kółek radiowych, nauczyciele.

Wystarczy przytoczyć programy dwóch ostatnich spotkań „przy stole klubowym", ażeby zrozumieć, jak ogromne znaczenie mają one dla zwiększenia zainteresowania radioamatorstwem, jakie olbrzymie znaczenie posiadają one w sprawie wychowania poczucia dumy narodowej dzięki temu, że zaznajamiają dzieci z nowymi konstrukcjami, wynalazkami radzieckiej radiofonii, z radzieckimi inżynierami-wynalazcami.

I spotkanie. Zasadniczym tematem tego spotkania były opowiadania członków Klubu o radiofonizacji wiosek Switini i Nikolskoje, odczytanie listów przewodniczących rad tych wiosek i rozdanie nagród lepszym członkom Klubu.

Klub Młodych Radioamatorów to inicjator wielkiego ruchu radiofonizacji wiosek przez zakładanie detektorów. Ruch ten został poparty przez wszystkich pionierów i uczniów mających zamiłowanie do radia.

Przeprowadziwszy radiofonizację dwu wiosek członkowie i kandydaci na członków Klubu dali obietnicę zradiofonizowania na wiosnę dalszych trzech wiosek. Rozpoczęto w tym celu wielkie prace przygotowawcze.

Podczas spotkania „przy stole klubowym" inż. Ulinicz zaznajomił młodych miłośników radia z odbiornikiem przeznaczonym dla samochodów ZIS-110; inż. Drozdow, naczelnik Centralnego Laboratorium Radiowego Ossoawiachima [1]), wyjaśnił zasady swego „bezszumnego" odbiornika (nie odbiera zewnętrznych zaburzeń), inż. Bażenow zaś pokazał oszczędnościowy odbiornik — liliput dla wsi.

W imieniu Klubu Znamienitych Kapitanów powitał miłośników radia artysta Abdułow.

II spotkanie. Rozpoczęło się ono od przemówienia tow. Prychodźko, naczelnika głównego węzła komunikacji Ministerstwa Floty Morskiej, pt. „O technice radiokomunikacji ze statkami **dalekiego pływania**". Inż. Tarasow pokazał nowy odbiornik-detektor własnej konstrukcji.

Założyciel Centralnego Laboratorium Budowy Samolotów, N. D. Babajew, objaśnił zasady modelu samolotu kierowanego przez radio.

Przedstawiciele kółka radioamatorów Baumańskiego Domu Pionierów opowiedzieli o radiofonizacji wioski Kaszimo i o pracy w szkole.

Na zakończenie spotkania kierownik Klubu B. M. Smietanin pokazał nowy węzeł radiowy o uproszczonej budowie dla szkół.

Tematem najbliższego spotkania będzie „Radiolokacja i telewizor".

Wiele przedsięwzięć Klubu ma już swoją tradycję, np. dwa razy do roku odbywa się wystawa detektorów wykonanych przez kandydatów na członków Klubu. Kandydaci Klubu, którzy wykonali najlepsze detektory, są premiowani kompletem przyrządów i materiałów do radiokonstrukcji.

Bardzo ciekawą formą praktycznej konstrukcyjnej pracy młodych miłośników radia jest „fabryka radia". W tej fabryce są: dyrektor, główny inżynier, naczelnik wydziału kontroli technicznej, naczelnik działu produkcji. Wszyscy są to uczniowie V, VI i VII klasy.

Młodzi miłośnicy radia zbudowali odbiornik własnej konstrukcji i nazwali go JU-PE-10 na cześć dziesiątego jubileuszu Domu Pionierów. Na dzień jubileuszu fabryka wyprodukowała 10 takich odbiorników (opis konstrukcji odbiornika był opublikowany w czasopiśmie **Radio**). Następnie konstrukcja odbiornika była ulepszona i „fabryka" wyprodukowała kilka nowych modeli JU-PE-11.

---

[1]) Ossowiachim — Radziecka Organizacja Obrony Przeciwlotniczej i Przeciwchemicznej

Organizacja „fabryki radia“ odpowiada zainteresowaniom dzieci i jest korzystna z metodycznego punktu widzenia pod warunkiem stopniowego przejścia z jednego cechu do drugiego i zapoznania uczniów ze wszystkimi etapami produkcji odbiornika. Pracując w fabryce młodzi miłośnicy wyrabiają sobie konkretny pogląd na proces produkcji, wyrabia się u nich poczucie odpowiedzialności, poczucie wspólności i koleżeństwa, przygotowują się do przyszłej pracy zawodowej.

W „fabryce radia“ wyprodukowano także i kilka radiowęzłów dla radiofonizacji szkół.

W ubiegłym roku Klub wyszkolił wśród starszych uczniów 12 instruktorów, którzy mogą samodzielnie kierować szkolnymi kółkami miłośników radia.

Obecnie w radioklubie pracują dwie sekcje: Sekcja Fal Krótkich Sekcja Radiotechniki Eksperymentalnej.

Rozwój twórczości dziecięcej w radioklubie bardzo się rozwija. Jasno przejawia się społeczna intencja całej pracy tego klubu.

Klub Umiejętnych Rąk

Przed pracownikami Wydziału Nauki i Techniki Domu Pionierów już dawno stanął problem — w jaki sposób wciągnąć do pracy technicznej także uczniów młodszych klas i jaka powinna być treść forma i metody tej pracy.

W tym celu stworzono Klub Umiejętnych Rąk. Uczestnicy tego Klubu to uczniowie II, III, IV klasy. Zadania Klubu — to w dostępnej formie zaznajomić dzieci z techniką radziecką, jej osiągnięciami, a także praktycznie zaszczepić elementarne nawyki pracy.

Pierwszą pracą dzieci było wykonywanie różnorodnych przedmiotów z papieru, kartonu, następnie z drzewa i wreszcie z drutu i blachy.

Z wielkim zainteresowaniem pracowali członkowie Klubu Umiejętnych Rąk nad wykonywaniem teczek do zeszytów, okładek do notesów, piórników, „Wiecznego kalendarzyka“ i innych rzeczy potrzebnych uczniowi.

Na wycieczkach i podczas pogadanek dzieci dowiadywały się, „jak powstaje książka“, „dlaczego lampa się pali“, „jakie są auta radzieckie“ itd.

Wielkie zainteresowania, jakie wykazali uczniowie dla pracy, ich pociąg do prac Klubu, dodatnie opinie rodziców i nauczycieli o kierunku działalności Klubu dają podstawę do stwierdzenia, że rozpoczynając pracę w dziedzinie techniki od najmłodszych klas postępujemy dobrze.

Klub Młodych Majstrów

Moskiewski Stołeczny Dom Pionierów dąży do tego, by rozszerzyć swój wpływ na możliwie największą ilość pionierów i uczniów. W tym celu zorganizowano w bieżącym roku Klub Młodych Majstrów (korespondencyjny), w którym pracuje już 7 000 pionierów i uczniów, przeważnie IV, V i VI klasy. Każdy, kto pragnie wziąć udział w Klubie Młodych Majstrów, otrzymuje książkę konkursu **Poznaj, zrób, odpowiedz.** W tej książeczce są wydrukowane pierwsze cztery zadania. Za każde wykonane zadanie zalicza się członkowi Klubu określoną ilość punktów, które odnotowuje się w specjalnej kartotece.

Po 1, 3 i 4 zadaniu członkowie Klubu powinni w domu zrobić różne roboty ręczne: naukowe pomoce szkolne, przyrządy do pisania (piórnik, teczkę, bibularz, „wieczny kalendarz"). Po 2 i 3 zadaniu odpowiadają na postawione zapytania związane z techniką, historią, geografią.

W niedzielę widzi się dzieci z walizkami, skrzynkami, zawiniątkami, niosące swoje roboty ręczne do Moskiewskiego Domu Pionierów dla oceny. Idą po rady w trudnych zagadnieniach, które zrodziły się podczas procesu pracy.

W Wydziale Nauki i Techniki Domu Pionierów są także kółka fotograficzne, elektrotechniczne, młodych przyrodników, konstrukcji samolotów, kierowania statkami, ale nie mamy możliwości w tym miejscu opisać ich pracy. Powiemy tylko to, że metody i zakres prac tych kółek są podobne do wyżej opisanych.

MŁODZI KONSTRUKTORZY OKRĘTÓW

Dzieci takich, które lubią morze i rwą się do niego, jest bardzo wiele.

I kiedy Moskiewski Dom Pionierów organizował Laboratorium Budownictwa Okrętów, w bardzo krótkim czasie przynęciło ono dzieci marzące o okrętach.

W stoczni dzieci, pełne entuzjazmu, budują nie zwyczajne łódki do zabawy, ale modele żaglówek i statków parowych. Każdy młody konstruktor okrętów ma prawo budować taki typ okrętu, jaki sam sobie wybierze.

To jest bardzo skomplikowana sprawa dla kierowników Laboratorium, ale daje ona młodzieży możliwość uczenia się i doskonalenia w tym zakresie, który im najbardziej odpowiada.

W jaki sposób zorganizowana jest robota młodych konstruktorów okrętów?

Grupa pięciu do sześciu osób przy pomocy kierownika Laboratorium wybiera sobie typ okrętu. Następnie grupa ta udaje się do modelarni i tam na podstawie rysunku technicznego, który przedstawia się jako szereg kolejno ułożonych poziomych przekrojów okrętu, zestawia szablon kadłuba okrętu.

Kiedy szablon okrętu jest gotowy, młodzi konstruktorzy po kolei budują kadłub okrętu. I podczas gdy jeden z nich buduje ną szablonie kadłub, reszta robi dla swych modeli pokład i inne części okrętu, jak żagle lub maszyny.

Budowa okrętu jest bardzo prosta. Szablon pokrywa się izolującym arkuszem suchego papieru. Na jego wierzchu nakleja się kazeinowym klejem kilka warstw papierowych lub materiałowych okrawków. Kiedy warstwa osiąga grubość 3—4 milimetrów, zostawia się korpus na szablonie, by wysechł. Suchy korpus zdejmuje się z szablonu, potem przeprowadza się montaż okrętu. Aby uodpornić okręt na wodę, przesycano go najpierw dokładnie pokostem, a następnie malowano. Obecnie robi się to prościej. Przesyca się okręt roztworem aluminiowego ałunu (lub formaliny) i upiększa akwarelą szkolną albo gwaszem. Potem pokrywa się okręt jasnym lakiem. W ten sposób uzyskuje się kolor wszelkiego rodzaju drewna.

W dużym pokoju, jasno oświetlonym, stoją stoły i warsztaty przy których dwa albo trzy dziesiątki chłopców wykonują różne prace. Jedni piłują i wyrzynają z drewna skrupulatnie miniaturowe części okrętów, inni montują skomplikowany takelunek na masztach. Trzej ustawiają na wielkim stole szablony dla trzech przyszłych statków.

Pięciu chłopców zebrało się wokół nie dobudowanego modelu. Jeden z nich, schyliwszy głowę i zmrużywszy oczy, spogląda uważnie wzdłuż pokładu. Następnie wyprostowuje się i mówi tonem niezadowolenia: ,,Znowu krzywo, trzeba będzie przerobić po raz trzeci. Ty widocznie nie żałujesz swej pracy. Przerób to!"

Konstruktor krzywego modelu stoi tuż obok z miną winowajcy i dotyka skrzywionego pokładu.

Młodzi konstruktorzy okrętów uczą się skomplikowanych terminów morskich bez ,,kucia na pamięć", niepostrzeżenie, w zapale interesującej pracy. Przy warsztacie stojącym na samym końcu pracuje skrzętnie, trzymając pędzel w ręku, chłopiec o okrągłych, rumianych policzkach.

Nakłada on na gotowy model metrowy wąski, biały paseczek linii wodnej, to jest granicę między wiśniowym i czerwonym (podwodnym) pokładem okrętu.

Żaglowiec to pierwszy krok do owładnięcia czarującą tajemnicą zwyciężania morza. Młodzi „kapitanowie“ sami budowali żaglowy statek i nauczyli się nim kierować.

Laboratorium Budowy Okrętów zorganizowało także stocznię wojenną. W warsztatach budują młodzi konstruktorzy „groźne“ półtorametrowe statki. Utalentowany radziecki uczony S. Klementjew opracowuje specjalny rodzaj urządzeń do radiowego kierowania statkiem dla niektórych rodzajów takich okrętów.

Chłopcy budują gorliwie, z uporem, wszystko sami, zaczynając od korpusu statków i kończąc na montażu sterów, kotłów, turbin i wież strzelniczych.

Ten entuzjazm i uporczywość młodych konstruktorów statków są godne wielkiej uwagi i ogólnej pochwały ze strony rodziców i nauczycieli.

J. Moralewicz

Sjemia i Szkoła
nr 6, r. 1947.

WCZASY LETNIE DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

Staraniem Ministerstwa Oświaty ukazała się z początkiem lipca br. praca zbiorowa **Wczasy letnie dla dzieci i młodzieży.** Tytuł wskazuje na przeznaczenie tego obszernego (140-stronicowego) wydawnictwa.

Praca ta składa się z 3 części. Pierwsza — zawiera materiały normatywne, tj. zarządzenie Ministra Oświaty z dnia 25. III. 1948 r. o powołaniu komisji do Spraw Wczasów Letnich dla Dzieci i Młodzieży w r. 1948, instrukcję Ministerstwa Oświaty z dnia 26. II. 1948 r. w sprawie organizacji wczasów letnich dla dzieci i młodzieży i instrukcję Ministerstwa Oświaty z dnia 26. V. 1948 r. w sprawie wychowania na placówkach wczasów letnich dla dzieci i młodzieży.

W II części na 66 dwuszpaltowych stronicach omówione są w 24 artykułach różne zagadnienia wychowania na placówkach wczasów letnich, III część zaś zawiera załączniki do normatywnych materiałów.

W poprzednim numerze **Dzieci i Wychowawcy** były omówione intencje zarządzenia i instrukcji Ministerstwa dotyczących wczasów letnich dla dzieci i młodzieży. W niniejszej notatce pragniemy wskazać na możliwość wyzyskania materiałów metodycznych w pracy domów dziecka, domów turnusowych, świetlic i innych placówek opieki nad dzieckiem.

Wyżej wspomniana ilość artykułów uporządkowana jest zagadnieniowo. Po dwu artykułach omawiających zagadnienia ogólne, a mianowicie politykę opiekuńczo-wychowawczą i postulaty wychowawcze w Polsce Ludowej — w trzech następnych omówione są zagadnienia organizacji pracy placówki, wczasów letnich i zespołu wychowawców, w czterech artykułach omówiona jest praca świetlicowa (tematyka pogadanek, gawęd, technika przeprowadzenia ogniska, rodzaje zajęć świetlicowych i rozrywkowe formy propagandy czytelnictwa), w 6 artykułach omówione zostały zagadnienia wycieczek, gier, zabaw i sportu.

Obszerny artykuł poświęcono zagadnieniu żywienia zbiorowego, w następnych poruszone zostały sprawy higieny na kolonii letniej i wybrane zagadnienia pracy w obozie, jak urządzanie obozu, śpiew w obozie, zdobnictwo i kronika w życiu obozu.

Jak widać z powyższego pobieżnego przeglądu tematyki, zasadnicze zagadnienia wychowania na placówkach opieki nad dzieckiem — zostały opracowane. Chociaż uczyniono to w celu zaspokojenia potrzeb pracowników kolonii czy obozów, jednakże ze względu na fachowe, głębokie i praktyczne opracowanie materiałów mogą one być wyzyskane w pracy przez wychowawców innych placówek opieki nad dzieckiem.

R. P.

DLACZEGO?

Wychowanie zbiorowe ma na celu oprócz innych zadań także wyrobienie nawyków kultury i poszanowania własności wspólnej, społecznej czy państwowej. Przebywanie przez kilka lat w atmosferze szanowania wspólnej własności powinno w młodej duszy wychowanka pozostawić głębokie ślady, powinno wytworzyć niejako „drugą naturę" pod tym względem. Tymczasem zdarza się często, że nasi wychowankowie, nawet spośród tych, którzy przez pięć czy sześć lat przebywali w takiej właśnie atmosferze w ZSSR — pracując w gospodarstwach kolektywnych F. Z. U. czy przebywając w domach dziecka — nie posiadają właściwego stosunku do własności. Lekceważenie wszystkiego, co nie jest „moje", jest plagą większości domów.

Ze względu na dobę, w jakiej żyjemy, oraz na to, do czego dążymy w postępie społecznym, musimy dziś już zastanowić się, jakie środki należy zastosować, aby wyrobić wśród naszych wychowanków poszanowanie własności państwowej i społecznej. Wydaje mi się, że samo pouczanie dziecka, że dobra materialne, z których ono korzysta, są wytworem ludzi pracy, jest zbyt zawiłe i mało przekonywające. Jeśli dodamy do tego, że nie wchodzą tu w grę rodzice wychowanka, że wychowanek nie widzi bezpośrednio i codziennie pracy, dzięki której otrzymuje łyżkę, szybę, buty, książkę czy bilet do kina, przyznamy, że samą tylko „propagandą" zdziałamy niewiele.

W styczniu tego roku zakład mój był wizytowany. Po odjeździe wizytatora zwrócili się chłopcy do mnie z takim pytaniem: „Panie kierowniku, dlaczego to tak jest? W Rosji nam to mówili, pan nam ciągle to mówi i pan wizytator znowu to samo" (o poszanowaniu wspólnej własności). „My wiemy, że to źle, bo jak coś się zniszczy, to szkoda, ale przecież nikt nie płaci ze swojej kieszeni, na to daje państwo. Jak się ma swoje własne, to się szanuje i uważa, a tak, to co? I moje i niemoje".

W ostatnim zdaniu jest dużo prawdy. Chłopcy ci przywieźli różne rzeczy, które otrzymali w innych zakładach opiekuńczych, a które są ich wyłączną własnością. Trzeba zobaczyć, z jaką pieczołowitością są one przechowywane, jak są czyszczone, prasowane i oszczędzane.

Dążymy do tego, aby życie w domu dziecka upodobnić jak najbardziej do życia w domu rodzinnym. Czy pod tym względem przy stosowaniu obecnych metod zdołamy to uczynić? Zabranie cudzych spodni, swetra czy koca i sprzedanie w domu rodzinnym także się zdarza, ale czy w takim stopniu?

Czy możemy sobie wyobrazić sytuację w naszych domach, gdzie spiżarnie czy magazyny z żywnością stoją bez zamknięcia? Czy możemy na 3 czy 6 dni pozostawić dzieci same, dając do ich rozporządzenia magazyny, kasę, kuchnię itp.? A przecież takie sytuacje w domach rodzinnych zdarzają się bardzo często, zwłaszcza teraz.

Chciałbym, aby na ten temat wypowiedzieli się inni koledzy, ale tak szczerze, bez frazesów, bez starego „byczo jest", bo wszyscy wiemy, że nie jest „byczo". Wiemy że, w tej dziedzinie wszyscy wychowawcy mamy dużo do zrobienia. Wspólne zastanowienie się ułatwi nam wybitnie pracę, co z kolei wyjdzie na dobre całemu społeczeństwu, które nie szczędzi grosza na ratowanie tych najbardziej potrzebujących.

Najbardziej wartościowe byłyby wypowiedzi kolegów z domów nowozałożonych.

Józef Koziełł

(Redakcja oczekuje od Czytelników wypowiedzi na poruszony wyżej temat. Spodziewamy się także od autora zapytania — opisu jego pracy nad wyrobieniem w dzieciach właściwego stosunku do własności społecznej).

KASIA POBAWI SIĘ TYLKO I ODDA POTEM

Niektóre dzieci są bardzo wrażliwe na błyskotki i barwne przedmioty. Rączki ich podświadomie się do nich wyciągają. Chcą tylko „popatrzeć", „dotknąć", „pobawić się". Przeżywają nieraz mękę, gdy patrząc na jakąś rzecz nie mogą jej potrzymać w rękach.

Można się o tym przekonać dając dzieciom w pierwszych klasach jakieś pudełka do składania drobnych rzeczy, do robótek. W pudełkach poszczególnych uczennic, przechowywanych w szafie szkolnej, znajdują się różne rzeczy, niekoniecznie własne. Dzieci to sobie wzajemnie zwracają.

Niesłychanie miłe jest to zwracanie, zwłaszcza wtedy, gdy w klasie panuje odpowiednia atmosfera, kiedy wychowawczyni sama zwraca dziecku zabrany mu ołówek, gumkę, zeszyt. I to nie tylko raz jeden, przypadkowo, ale często wyzyskując każdą do tego sposobność. Wtedy oddawanie wchodzi w zwyczaj bez nakazów i słów.

Najgorzej, gdy są trudności w oddawaniu. Posądzanie... szeptanie... podejrzewanie.

Ach, dziecko, przepraszam cię, zabrałam ci nożyczki. Dopiero wieczorem znalazłam je w kieszeni.

Na drugi dzień co najmniej dwoje dzieci zaznaczy, że coś u siebie znalazło w kieszeni. Więc zwraca.

I tak często. Raz wychowawczyni, raz któreś z dzieci. To najlepszy sposób ćwiczenia dzieci w szacunku dla „cudzej własności".

Sam czyn, przykład, atmosfera. Nie filozofia, ponure pouczanie, nieustanne tłumaczenie, gderanie.

W dziecku przez bardzo długi czas działają same bodźce popędowe. Łatwiej uspokoić takiego nieproszonego gościa przez rozbudzenie przeciwnego mu odruchu popędowego, niż uleczyć dziecko przez nazywanie czynów jego występkami, straszenie, karę.

Uświadomienie potęguje przeważnie złe popędy naturalne i może dojść do tego stopnia, że dziecko rzeczywiście nie da sobie z nimi rady.

Ułatwiajmy więc małym oglądanie przedmiotów i „potrzymanie" ich w rączkach", „pobawienie się" i... „zwracanie na wesoło" w atmosferze wzajemnego zaufania.

Kasia ma 6 lat. Sama jest w domu ze swoją maleńką siostrzyczką. A dom ten — to ciemna jakaś suterena. Stoi tu jedno duże łóżko i stara szafa, stolik, dwa kulejące taborety.

Matki te dzieci nie mają. Ojciec rozpił się po śmierci żony i związał z inną kobietą. Dziećmi opiekuje się trochę sąsiadka przez litość.

Kasia to bardzo ciche dziecko. Bawi się zawsze sama. Bawić też musi swoją roczną siostrzyczkę. Brudne, biedne opuszczone dzieci.

Opieka Społeczna zainteresowała się dziećmi i zabrała je do zakładów.

Kasia jest już w zakładzie.

Ale i tu bawi się sama, bo do szkolnych jeszcze nie należy, a przedszkola nie ma w zakładzie.

Kasia widzi mnóstwo różnych rzeczy... rzeczy... rzeczy... Ołówki kolorowe, farbki u dzieci szkolnych, zabawki.

Na stole długi, czerwony ołówek. Kasia chce go wziąć koniecznie w ręce i potrzymać troszeczkę, popatrzeć. Obmacuje palcami, przykłada do ust, do twarzy. Taki czerwoniutki. Taki gładziusieńki! To ołówek szkolnej dziewczynki. Kasia go troszeczkę tylko potrzyma. Ołówek leży u Kasi, a Kasia wciąż na niego spogląda.

Ach! Byleby nikt nie odebrał ołówka i nie narobił krzyku! Kasia potem odda. Ale teraz jeszcze nie... Potem.

Bawi się, bawi, choć to już wieczór. Biega z jednej sali do drugiej.

Ot, tam przy ścianie stoi maszyna do szycia. W szufladce tkwi kluczyk. Taki dziwny kluczyk. Kasia nigdy takiego nie widziała.

Wyciąga kluczyk z szufladki. O, jaki ładny! Trochę się kluczykiem pobawi. On tak ładnie błyska, tak się miga.

— Gdzie mój ołówek czerwony? — Rozległo się wołanie po sali. Gdzie mój ołówek?!...

— U Kasi — odpowiada któreś dziecko.

— Dawaj ołówek!!! Jak ty możesz?... Ach, ty, złodziejko!

Kasia oddaje ołówek. Bawi się teraz kluczykiem. Wreszcie odnosi go, wtyka do szufladki. Kręci na prawo i na lewo.

Ale co to? Na maszynie broszka z kogutkiem. Kasia zapomniała już o kluczyku i bawi się broszką. Przykłada ją do ręki wyżej i niżej, do szyi, do włosów. Co to za taka broszka? Kasia siedzi w kąciku z broszką i w końcu usnęła.

Zabrano ją, położono do łóżeczka. Nikt nie zauważył, że Kasia w piąstce ma broszkę. Przespała z nią do rana.

Cała tragedia powstała jednak, gdy zaczęto szukać broszki. Znaleziono ją znowu u Kasi.

Więc Kasia kradnie... Kasia złodziejka.

Ależ nie! Kasia nie kradnie. Kasia tylko się bawi. Ona zawsze chce potem oddać. I oddaje, jeżeli nie zapomni. I jeżeli z tego nie będzie krzyku.

Weszła do pokoju pani kierowniczki. Na stoliku pieniądze. Kasia nigdy pieniędzy nie widziała. Popatrzy trochę. Bierze pięciozłotówkę i ogląda. Wynosi z pokoju. Pobawi się trochę. Kasia siada w kąciku, rozkłada i składa.

Ale co to? Dzwonią na spoczynek poobiedni. Małe muszą spać. Kasia idzie do sypialni. Papierowy pieniążek chowa do poszewki od poduszki i zasypia. Zapomina zupełnie potem o pieniądzach.

Tak schodzi życie w zakładzie. Nie była w przedszkolu. Bo po co?... Teraz pójdzie prosto do szkoły...

Tyle, tyle koleżanek! A u nich tyle najrozmaitszych rzeczy! Pieczątki kolorowe, gumki białe, niebieskie, zielone, czerwone. Nigdy Kasia takich nie widziała.

Wzięła sobie jedną gumeczkę z podłogi i patrzy... patrzy. Ściska palcami, przytula do twarzy. Dobra gumeczka. W zakładzie takich nie dawali. Wkłada gumeczkę do kieszeni.

Na drugi dzień już o niej nie pamięta. Ale podniosła z podłogi kredkę fioletową. Przecież znalazła ją. Takie ładne kreski od tej kredki: Kasia pociąga kredką po zeszycie i patrzy — patrzy.

Zakładowe dostają po kawałku chleba na dużą pauzę, ale te przychodnie takie smaczne przynoszą ciastka.

Któraś z dziewczynek zostawiła teczkę na korytarzu, a sama poszła się bawić. Kasia zagląda do teczki. Akurat jest ciastko. Dobrze. Kasia zjada. Ach, jakie smaczne!

Potem krzyk, płacz w szkole. Ciastko zginęło z teczki. Wychowawczyni martwi się razem z dziećmi. Wreszcie posyła do cukierni, żeby za własne pieniądze kupić ciastko skrzywdzonej dziewczynce. Żadnych wyrzutów, żadnego dochodzenia. Dobra ta pani. Kasia więcej ciastek brać nie będzie, żeby się pani nie martwiła.

Ale w zakładzie oburzenie. W kieszonce u Kasi pełno cudzych drobiazgów szkolnych. Przyprowadzają z nimi Kasię do wychowawczyni. — Oddaj, coś wzięła, złodziejko!!...

Wychowawczyni zmartwiona jest poważnie. Nie robi jednak dziecku wyrzutów. Siada przy stoliku, przytula dziewczynkę do siebie, rozkłada w jej obecności drobiazgi na stole i pyta: — Pobawiłaś się już tymi rzeczami, Kasiu? — Oczy dziecka błysnęły radośnie. — O tak, proszę pani, już się pobawiłam. — A możesz te rzeczy już oddać? — Mogę, proszę pani. Ta gumeczka z podłogi to Zosi, a ten ołówek, to nie wiem, a ta kredka to Kazi itd.

— Włóż im te rzeczy do kasetek, niech jutro znajdą. — Dobrze, proszę pani. — Rozkłada, przypomina i znowu rozkłada. Już wszystko oddane. Pani podarowała Kasi maciuteńki „złoty" ołóweczek na pamiątkę i dała jej się przyjrzeć różnym drobiazgom w szufladce.

— To tylko maluchy łapią rzeczy do bawienia się. Ty, Kasiu, jesteś już dużą dziewczynką. Chcesz oddać, gdy już się pobawisz, tylko nie umiesz tego zrobić. Krzyku się boisz, prawda? — Tak.

— Nie bój się. Odłóż zawsze do kasetki i koniec. Zresztą sama już masz swoje rzeczy, już jesteś za duża na to wszystko. Dobrze?

Kasia skończyła szkołę i jest uczciwą dziewczynką. Nigdy nawet nie skłamie. Nikt z nią nie rozmawiał na temat tego, co było. Nigdy... nigdy...

Kalina

NAJTRUDNIEJSZE DZIECKO, NAD KTÓRYM PRACOWAŁAM

W czerwcu 1944 r. przybyła do mojej grupy Wandzia lat 11, jedna z „najgorszych" dziewczynek likwidującego się zakładu. Wandzia była „okropna", według opinii kilkuletniej jej wychowawczyni: potrafiła bić, szczypać, rzuciła się nawet raz na nią, była bardzo nieopanowana, uparta, złośliwa.

Ostatnio zmieniła się na korzyść.

Zostałam dobrze poinformowana, jak trudne dziecko przyjmuję pod swoją opiekę, toteż z tym większą energią od pierwszej chwili zaczęłam pracę nad Wandzią i tym wysiłkom zawdzięczam niektóre pomyślne rezultaty.

Uważałam, że zdobycie zaufania i serca Wandzi — uszlachetni ją. Przede wszystkim postanowiłam nie zdradzić, że wiem, jakie było jej poprzednie postępowanie. Przeciwnie, starałam się dać jej odczuć, że widzę w niej takie samo dobre dziecko, a nawet często lepsze niż inne, wierząc, że ta pokładana w nią wiara doda jej bodźca do pracy nad sobą.

Na początku wszystko ją zachwycało, była onieśmielona nowym otoczeniem, a ja całą siłą starałam się zbliżyć ją do siebie, wciągnąć w nowe życie naszej zżytej ze sobą grupy, zawiązać nić przyjaźni. Były wakacje. Wandzia popisywała się swoimi umiejętnościami, śpiewała ulubione piosenki, a czując, że lubię dzieci wesołe, swobodne — urządzała mi „koncerty".

Niedługo trwała pogoda, bo oto, gdy jedna z dziewczynek wzięła przygotowany przez nią garnuszek na jagody, Wandzia usiadła na środku podwórza i wybuchnęła spazmatycznym płaczem. Zbliżyłam się do niej z grupką dzieci idącą do lasu. Po długich dopytywaniach odpowiedziała mi z ogromnym wzburzeniem nie szczędząc wyzwisk i ostrych słów. Zbagatelizowałam ten ostry ton i ofiarowałam jej swój kubeczek, a wraz ze mną wyciągnęły się koleżeńskie ręce podając każda swój. „Nie potrzebuję waszych" — padły z pasją wypowiedziane słowa — „w ogóle niczyjego".

Żal mi było dziewczynki, więc postanowiłam za wszelką cenę dać jej odczuć, że jednak wierzę w nią i że mam dla niej serdeczne uczucie, tym bardziej że spomiędzy palców zasłaniających twarz patrzyły na mnie uważnie, a ciekawie oczy Wandzi. Powiedziałam

więc do niej: „Ty się nie zastanowiłaś, że to nie taka wielka przykrość“ — i poszłam dalej. Wandzia wolniutko podniosła się i poszła za nami. Z początku krążyła koło mnie w dość dużej odległości, ale czułam, jak stopniowo zbliża się ku mnie. Spytałam: „Czy chcesz mój kubek?“ — „Ja wolę razem zbierać“ — odparła, na co się chętnie zgodziłam i nic o niedawnej przygodzie nie wspominałam.

Coraz częściej rozlegały się jednak w naszym domu głośny płacz i krzyki Wandzi. Płakała i kłóciła się, bo dziewczynki „inaczej“ patrzą, bo ma czegoś za dużo lub za mało, bo ona nie chce siedzieć koło tej lub tamtej dziewczynki, stale miała do kogoś pretensje. Nie darowała żadnego obraźliwego, jak się jej zdawało, słówka.

Znając jej popędliwe usposobienie i nieznoszenie żadnych uwag, nigdy nie strofowałam jej wobec koleżanek, bo wywołałoby to niezawodnie większą pasję, co nieraz się zdarzało przy najmniejszym upomnieniu. Często natomiast w indywidualnych z nią pogawędkach starałam się rzucić jej kilka uwag bardzo oględnych. Nie zawsze i to przechodziło gładko. Kilkakrotnie uciekła ode mnie mrucząc coś pod nosem, często stawała do mnie tyłem lub wychodziła trzaskając drzwiami. Nie zrażałam się tym, a Wandzia poczęła coraz chętniej słuchać moich uwag.

Trudny charakter Wandzi jaskrawiej zarysował się w ciągu roku szkolnego, gdy trzeba było wziąć się do systematycznej pracy, podporządkować się regulaminowi szkoły. Wandzia na wszystko się spóźniała, była wtedy w bardzo złym humorze, potrącała dzieci, złościła się, płakała.

Pewnego razu była szczególnie nieznośna i dokuczliwa. Zwymyślała odrabiające z nią lekcje koleżanki, umyślnie czytała głośno książkę zapowiadając, że jutro nie pójdzie do szkoły i nikt jej nie zmusi do pójścia. Wieczorem przechodząc przez sypialnię ujrzałam niepewny wzrok Wandzi na sobie. Usiadłam obok i cichutko, lecz serdecznie spytałam o powód dzisiejszego zachowania, zapewniając o gotowości przyjścia jej z pomocą. Długa chwila wahania i szept pytania, czy nie spotka ją za to kara. Zaręczyłam, a Wandzia opowiedziała, że zgubiła zeszyt z wypracowaniem, a jutro mają być stawiane stopnie. „Nie martw się, Wandziu — szepnęłam — jutro obie poszukamy“. Serdeczny uścisk był całą odpowiedzią. Nazajutrz wspólnie odnalazłyśmy zgubę. Wandzia poszła do szkoły, lecz z dala od koleżanek.

To śpieszenie z pomocą i dodawanie jej odwagi wyrywało ją z szału złości i potrącania przedmiotów i wypogadzało pucołowatą twarzyczkę na kilka dni następnych. Na lekcjach zachowywała się

jednak nieznośnie, rzucała papierami, mruczała lub wychodziła z miejsca, zaczepiała chłopców, biła się z nimi, pokazywała nauczycielce zeszyt koleżanki (bo swojego zapomniała lub nie odrobiła lekcji). Kilka razy byłam wzywana do szkoły. W końcu przebrała się jednak miara. Wandzia została usunięta ze szkoły. Wydalona winowajczyni wracała z miną triumfatora mówiąc do koleżanek: „Nic się nie boję, wielka rzecz, jeszcze mi lepiej". Mnie unikała, na posiłki nie przychodziła. Zmuszona byłam trochę przeczekać i użyć interwencji osoby postronnej dla nawiązania stosunków, aby przez to wpłynąć na burzliwe usposobienie „mojej Wandzi". Sposób okazał się pomyślny w skutkach. Wandzia otrzymała polecenie szybko mi coś podać. Moje życzliwe spojrzenie przełamało jej upór. Zaczęła chodzić za mną, starać się mi usłużyć. Pierwsze lody pękły, zwróciłam się więc do niej: „Jutro, Wandziu, pójdziesz do szkoły, przeprosisz nauczycielkę". Propozycja moja wywołała potok słów opozycyjnych. Na to powiedziałam: „Przecież ty nie będziesz ciągle mnie martwić. Przeprosisz i pokażesz, że uznajesz swój błąd i naprawisz go". Nie przyszło jej to łatwo, ale rozwijające się w niej przywiązanie do mnie wzięło jednak górę. Wyraziła zgodę i zaczęła przygotowywać się do lekcji. Nazajutrz spełniła obietnicę i na jakiś czas stała się przykładną uczennicą.

Innym znów razem przez dokazywanie zbiła w szkole szybę (była późna jesień), tak że kierowniczka zabroniła przychodzić dzieciom tej klasy z zakładu do szkoły, dopóki szyba nie będzie wstawiona. Po drodze koleżanki czyniły jej wymówki. Wandzia wystąpiła czynnie wobec niektórych z nich. Zauważyłam po przyjściu, że zaszło coś nowego (zawsze, gdzie jest Wandzia, może zdarzyć się coś nieprzewidzianego). Wylała swój obiad twierdząc, że jest najgorsza i może nie jeść. Znając sprawę, poleciłam jej na terenie zakładu poszukać szkła, dowiedzieć się o szklarza i rzuciłam: „Wandziu, i to naprawisz". Wczesnym rankiem udaliśmy się do szkoły, by wstawić szybę. Wandzia odprowadzając mnie powiedziała: „Ja tego nigdy nie zapomnę".

Wandzię cechowało wielkie lenistwo. Dyżurów nie spełniała, od wspólnych prac uciekała, przy czym sama kilkakrotnie się ukarała, bo minęła ją za to miła niespodzianka lub jaka przyjemność z góry przeze mnie uplanowana dla pracujących. Np. dziewczynki miały wypleć marchewkę. Wandzia, jak zwykle, zaczęła pracę narzekając i buntując się, natomiast inne chętnie się do niej zabrały. Po kilku minutach uciekła. Tymczasem przy pracy było bardzo wesoło, a ona z daleka tylko słyszała śmiech dziecięcy. Po zajęciach omawiałyśmy nad stawem organizację

puszczania wianków w dniu 24 czerwca. Przy kolacji Wandzi nie było — zawzięcie pełła swój rządek.

Posunięcia Wandzi były często nieopanowane, złośliwe — np. chowała dzieciom książki lub zeszyty, złamała koleżance grzebień, przecięła wstążkę itd. Wielu rzeczy starałam się nie widzieć lub wytłumaczyć je wobec grupy, która dobrze zdawała sobie sprawę z postępowania koleżanki, szczęście tylko, że ich nie naśladowała, a Wandzia pomalutku wżywała się w zespół. Wielu przywar wyzbyła się już w swoim postępowaniu.

Gdy minął okres najgorszych buntów, gdy zdobyłam jej zaufanie — niezawodnym środkiem przeciw jej wybrykom było powierzanie Wandzi „ważnych" funkcji, np. odpowiadanie za porządek, pilnowanie małych dzieci przy zabawie, przygotowywanie posiłków ze mną lub załatwianie interesów. Można było już na niej polegać. Duma i poczucie swej ważności zmuszały ją do sumiennego wywiązywania się ze swego obowiązku. Zresztą widziałam w jej spojrzeniu już tyle uczucia i przywiązania, że mogłam ufać. Częściej więc mogłam w chwilach koniecznych zwracać jej uwagę, co w początkach chybiałoby całkowicie, a obecnie kończyło się przeproszeniem i szczerym przyrzeczeniem poprawy. Czy zawsze było ono dotrzymane — to inna rzecz. Było i bywa różnie; ale teraz już można od Wandzi wymagać wielu rzeczy, które spełni.

Można też przypuszczać, że dziewczynka wyrośnie na pożytecznego członka społeczeństwa.

S. Kazimiera Krajewska

JESZCZE O WANDZIE

Praca drukowana wyżej jest najlepszą z odpowiedzi na konkurs ogłoszony w nrze 1—2 naszego pisma z ubiegłego roku, zainicjowany przez Kuratorium Warszawskie.

Dziwnym trafem dziewczynka opisywana w tym artykule jest moją dawną znajomą. Dla lepszego jej zrozumienia podam to, co wiem o niej.

Wanda urodziła się w lutym 1933 r. jako dziecko nieślubne. Od pierwszych dni swego życia przebywała w zakładzie z matką, która pełniła tam funkcje karmicielki, po czym wyszła z zakładu pozostawiając dziecko. Nie interesowała się nim więcej, nigdy się do niego nie zgłaszała.

Opinia zakładu o matce (dane z akt zakładu): „dobra, ale histeryczka", bez szczególnego powodu wybucha śmiechem lub płaczem.

Wanda wychowywała się więc od urodzenia w wielkim zakładzie. Życie jej płynęło bezustannie w licznej gromadzie rówieśników. Personelu mało, zawsze zajęty, nikt nie ma czasu ani energii na to, by podejść do dziecka, aby je popieścić, przemówić do niego, zabawić. W tym zakładzie niemowlęctwo przeciąga się często do dwu lat życia. Do trzech lat dziecko przebywa na oddziale niemowlęcym, gdzie potrzeby właściwe jego wiekowi nie mogą być zaspokajane. Następuje przejście do grup tzw. wychowawczych. Co roku inna grupa — więc inny lokal, sypialnia, jadalnia, sala przedszkolna, inna także wychowawczyni. Choć administracyjnie zakład jest jeden — w świadomości dziecka przenoszenie z grupy do grupy równoznaczne jest z przenoszeniem do innego zakładu. Toteż Wanda wylicza potem kilka zakładów w swoim życiu: „u św. Józefa", „na św. Wincentym" itd., podając nazwy oddziałów jednego zakładu.

Poza siedmioma godzinami, spędzanymi wraz z trzydzieściorgiem dzieci w tym samym dokładnie wieku pod opieką wychowawczyni, resztę dnia spędza Wanda pod opieką służby. Nigdy nie może być sama: razem ze wszystkimi innymi śpi, wstaje, podlega myciu, je, jest wysadzana, wychodzi na podwórko — ogród (nigdy poza mury zakładu).

Co zostało w pamięci Wandy z tego zakładu? Trzy rzeczy: że były tam siostry „takie w białych kornetach, o wszystko się starały, myśmy były grzeczniejsze u sióstr, tam nie wolno dokazywać", że wychowawczynią była „mama Hela" i była bardzo dobra, że „tam chłopcy byli i parzyli nas, taki piec był, taki, pani wie, nie taki, jak tutaj, takie rury, to chłopcy nas wzięli i parzyli nas, a potem nam dawali papierki, żebyśmy nie płakały". W sumie Wanda dobrze wspomina „wszystkie zakłady".

Z zakładu tego można być przekazanym dalej albo w piątym roku życia, albo w wieku rozpoczęcia obowiązku szkolnego. Widocznie Wandę chciano przenieść wcześnie, skoro w r. 1937 skierowano ją do mnie na badanie poziomu rozwoju. Iloraz rozwoju w wyniku badań testami Ch. Bühler dla dzieci przedszkolnych wynosił 80, co znaczy, że dziecko mające w momencie badania 4 lata i 2 mies. wykazało rozwój właściwy dziecku w wieku 3 lat i 4 miesięcy. Zważywszy warunki, jakie dla rozwoju dziecka stwarzał zakład, w którym ono przebywało — wynik ten należało uważać za niezły, świadczył on o średniej inteligencji dziewczynki.

Uwagi w związku z badaniem brzmiały: dziecko ruchliwe, aktywne, bardzo żywo reagujące, śmiałe, „ciekawska".

Wanda nie została jednak przekazana do innego zakładu w r. 1937. Skierowano ją dopiero w czerwcu 1939 do zakładu dla

dziewcząt, wychowanek owego wielkiego domu małych dzieci chorych na **gonoreę** wskutek zakażenia przy porodzie lub w zakładzie przez źle utrzymane pieluchy.

Opinia zakładu o Wandzie przed jej przeniesieniem: „mimo tuszy ruchliwa, czynna. W dużym stopniu uparta, przekorna, natrętna. Zupełnie samodzielna, przeszkód nie uznaje. Czynna, zapoznaje się z przedmiotami, zabawki zmienia dość często i szybko je niszczy. Mówi wszystko [1]), ale sepleni [2]). Ruchy lekkie. Nieusłużna, nigdy nie wykona polecenia. Bawi się w gromadzie, ale często wywołuje bójki, toteż dzieci odsuwają się od niej, bojąc się jej siły i przemocy (najsilniejsza z całej gromadki). Kiedy jednak spostrzeże, że jest sama — znowu podchodzi do dzieci i bawi się z nimi aż do następnej bójki. W stosunku do dorosłych ufna, lubi pieszczoty, rzuca się każdemu w objęcia, czy zna, czy nie zna".

Oprócz tej opinii pisanej żyła przez lata opinia wspominana w zakładzie. Nazwisko Wandy zarówno u wychowawczyń, jak u innego personelu w kilka lat po odejściu dziewczynki z zakładu wywoływało żywe, lecz negatywne reakcje. Uchodziła za bardzo trudną. Nieznośną.

Na początku roku 1941 została przy Wydziale Opieki Społecznej Zarządu Miejskiego m. st. Warszawy otwarta Poradnia Wychowawcza dla wychowawców zakładów dziecięcych. Jedną z pierwszych naszych klientek była Wanda, skierowana w marcu z następującą opinią:

„Dziewczynka niesłychanie uparta i nieposłuszna. Drażnią ją rzeczy drobne, nieistotne, np. łyżka odmiennego kształtu, ławka zbyt wysoka, miewa nieoczekiwane żądania: chce np. jeść zupę z filiżanki, zamiast z talerza itp. Jeżeli jej żądań nie zaspokoić natychmiast, krzyczy w przerażający sposób, nie da się uspokoić i wytłumaczyć sobie trudności związanych z wykonaniem jej żądania. Podobnie zachowuje się wobec poleceń wychowawczyń, które jej się nie podobają.

Zdarza się, że złość wywołaną niespełnieniem jakiegoś jej żądania wywiera na niewinnych zupełnie koleżankach, wszczyna z nimi awantury, bije je.

Równie gwałtownie reaguje na zaczepki koleżanek. Sama raczej nie zaczepia, nie ma tendencji do złośliwego dokuczania innym. Widać w niej przebłyski dobrego serca, np. broni młodszej koleżanki.

---

[1]) Uwaga ta świadczy wymownie o przeciętnym poziomie dzieci tego zakładu.

[2]) Seplenienie, wadliwa wymowa — częste zjawisko u wychowanków tego zakładu

Dość ambitna, zależy jej na opinii innych dzieci.
Uczy się dobrze, należy do najzdolniejszych w klasie, jest w klasie II".

Badanie inteligencji testami Binet-Termana wykazało lekką ociężałość umysłową zbliżoną do normalnej, iloraz inteligencji wyniósł 87. (Jak się okazało później, po zbadaniu wszystkich jej koleżanek — tylko 6 spośród nich wykazało wyższy (i to niewiele) iloraz. Śmiało można było postawić przypuszczenie, że w normalnych warunkach rozwoju Wanda osiągnęłaby normę).

Charakterystyka Poradni wydana na podstawie badań brzmi: „typ dziecka aktywnego, samodzielnego, o dużej pobudliwości nerwowej (podłoże dziedziczne) sprawiającej, że reakcje dziewczynki są nieproporcjonalne do podniet".

Prawdopodobnie wychowanie zakładowe krępujące swobodę i nie pozwalające na zaspokajanie normalnych zachcianek dziecka pogłębiło jeszcze drażliwość dziewczynki i chęć osiągnięcia celu wbrew wszelkim przeszkodom. Krzyki i awantury są środkiem, za pomocą którego dziewczynka chce osiągnąć swoje żądania.

Wskazane byłoby odseparowanie dziewczynki od koleżanek-prowokatorek oraz zaspokajanie przez wychowawców niektórych zachcianek dziecka (nawet niesłusznych, ale możliwych do zrealizowania i nieszkodliwych) pod warunkiem, że poprosi nie urządzając awantur".

W okresie badania Wandy znaliśmy tylko zakład, w którym przebyła ona pierwsze sześć lat swego życia, nie mieliśmy pojęcia o drugim. Stąd też wskazania wychowawcze zawarte w orzeczeniu, choć zasadniczo słuszne, nie mogły jednak być zrealizowane w zakładzie tego typu, którym było miejsce ówczesnego pobytu Wandy. Przeniesienie dziecka było wykluczone ze względu na chorobę. Charakterystyka była także niepełna—za mało jeszcze wiedzieliśmy o warunkach, w jakich dziecko wzrasta.

W kilka miesięcy później ustąpiła kierowniczka owego zakładu, a jej następczyni — po zapoznaniu się z zakładem — postawiła za warunek objęcia swego stanowiska przebadanie przez Poradnię wszystkich jego wychowanek w liczbie 50. Żądanie takie nie miało precedensu, zważywszy jednak okoliczności towarzyszące zmianie kierownictwa, Wydział wyraził swą zgodę.

W miesiącach wrześniu, październiku i listopadzie 1941 przeprowadziłam z ramienia Poradni na terenie zakładu badanie wszystkich jego wychowanek.

Wynikiem tych badań było zrozumienie przez Poradnię faktu, że bez znajomości zakładu — środowiska wychowawczego

dziecka — niewiele potrafimy o naszym „pacjencie" powiedzieć, a jeszcze mniej doradzić wychowawcy. Zbadanie tego zakładu zapoczątkowało praktykę badania przez nas dzieci zgłoszonych do Poradni na terenie ich domu — zakładu.

Wróćmy do Wandy.

W nowym zakładzie znalazła się Wanda w towarzystwie 49 dziewcząt z takim samym „obarczeniem zakładowym", jakie miała sama. Tyle, że już niewyłącznie w zespole rówieśnic. Miała koleżanki i starsze, i młodsze. Ogólna rozpiętość wieku dziewcząt wynosiła 6 lat. Nauka szkolna nie wprowadziła zasadniczych różnic w życie dziecka — odbywała się tak samo w zakładzie i prowadzona była własnymi siłami wychowawczyń, jak zajęcia przedszkolne w zakładzie poprzednim. Nowy zakład był tak samo ściśle zamknięty, jak poprzedni. Tyle, że na wsi — więc zdarzył się czasem spacer do lasu. Przed domem stacja kolejki — można więc było oglądać ludzi z zewnątrz, podobnie jak dzieci przechodzące do szkoły obok zakładu. Z tych możliwości nie wynikało jednak nic dobrego — cała wieś wiedziała dokładnie, że w zakładzie są dzieci „weneryczne". Dzieci wiejskie przechodząc nie omieszkały prawie nigdy krzyknąć tych czy innych przykrych słów pod adresem naszych dziewczynek. Do tego dodajmy: zupełny brak zabawek, brak książek do oglądania, potem do czytania, brak jakiejkolwiek własnej rzeczy, brak jakiegokolwiek miejsca na własne rzeczy, w wypadku gdyby jakimś cudem któraś z dziewcząt miała coś na własność; dodajmy, że cały dzień poza lekcjami musiała spędzać pełna gromadka dziewczynek w niewielkiej „świetlicy", której jedynym urządzeniem były dwie ławy; dodajmy ciężkie w pierwszych latach wojny warunki materialne, paroletnie niedojadanie dzieci, okresami prawdziwy głód, nieopalanie zakładu w ciągu zimy, tak że kilka miesięcy w roku całe życie dzienne i nocne trzeba było spędzać w pięćdziesiątkę w jednym pomieszczeniu, zupełny brak obuwia, pończoch, ciepłej bielizny i palt, tak że dzieci od października do kwietnia w ciągu kilku lat nie wychodziły zupełnie na powietrze, a w domu marzły bose w lichych sukienczynkach; dodajmy stałe badania i zabiegi lekarskie dokonywane w warunkach niezwykle krępujących, a będziemy mieli już dość wyraźny obraz życia Wandy w pierwszych latach jej nauki szkolnej. Do pełni obrazu brak nam jednak danych o personelu. Otóż pracownice zakładu, mimo posiadania wszelkich potrzebnych kwalifikacji formalnych, były pozbawione w stopniu wybitnym poczucia odpowiedzialności. W głodnym i zimnym zakładzie żyły wcale luksusowo, odżywiały się dobrze, urządzały dla siebie zabawy przeciągające się nieraz do późna

w noc. Dzieci, pozostawione same sobie, stawały się coraz bardziej „trudne", „dzikie", coraz bardziej między sobą skłócone. Walka między nimi a personelem była ostra. Jedną z najbardziej wojowniczych była Wanda. Nie słuchała, krzyczała, urządzała awantury, rzuciła się na wychowawczynię. A oto jak o stosunku wychowawczyni do Wandy mówią jej koleżanki: „Pani Z. biła ją zawsze, a jak już nie mogła sobie sama poradzić, to wołała męża i mąż bił ją paskiem tak, że potem godzinami trzymali ją u siebie w pokoju i obwiązywali chusteczkami (robili okłady), i dawali jej cukierki, żeby nie płakała. Jak się Wanda poskarżyła pani doktor, jak pani doktor przyjechała, to potem znowu ją zbili strasznie. A jak raz Wanda tak krzyczała na sypialni, to pani Z. już do niej nie miała siły i przysłała męża, to on podniósł Wandę do góry i tak rzucił o ziemię". Makabryczne te opowiadania zostały potwierdzone przez osoby wiarogodne.

W okresie przeprowadzania badań zakład przestał już być skandalem — niemniej jednak nie dociągnął jeszcze do poziomu dostatecznego. Tyle — że lekcje odbywały się systematycznie, dzieci nie były tak często bite i przestały być głodzone. Reszta została niezmieniona.

Nowa kierowniczka i nowa wychowawczyni mówią o Wandzie to, co poprzednie. Oto fragmenty opinii:

„Najmniejsza uwaga ze strony dzieci lub wychowawczyni wyprowadza ją z równowagi. Rzuca się na ziemię z okropnym krzykiem albo rzuca się na dzieci czy na wychowawczynie, kopie, gryzie, rozrywa ubranie. Potrafi krzyczeć godzinami bez łez, a wyprowadzona za drzwi, kopie w nie z taką siłą, że w całym zakładzie słychać huki.

Lubi być pieszczona, chce, żeby mówić z nią zdrobniałym imieniem".

Wanda w czasie badania przyznaje się do wielu swoich niewłaściwych postępków, wyraża szczerą chęć poprawy, twierdzi, że się już poprawiła, „bo pani nas nauczyła, żeby nie przezywać, żeby ładnie jeść i żeby leżakować ładnie".

Przezwiska, jakimi obdarzają Wandę koleżanki: Hajdel, Rojza, Jude, Żyd — pochodzą od jakoby żydowskiego nazwiska dziewczynki. Nie są to zresztą najbardziej przykre z przezwisk używanych w tym zakładzie między dziewczętami.

Wnioski wychowawcze po przeprowadzeniu badania brzmią:

„Praca nad dziewczynką nie może być prowadzona w oderwaniu od ogólnej pracy wychowawczej w zakładzie, właściwa praca nad nią zacząć się może dopiero po podniesieniu się ogólnego

poziomu współżycia wzajemnego koleżanek, po stworzeniu bardziej pogodnej atmosfery w zakładzie. W tej chwili wybuchowa dziewczynka, jaką jest Wanda, bywa stale narażona na przykrości i ma zbyt często okazję do wybuchów.

Duża życzliwość, wyrozumiałość i cierpliwość, a jednocześnie stanowczość, równość w postępowaniu z nią, a także systematyczność — są niezbędne w pracy nad dziewczynką.

Dopiero kiedy stan wychowawczy zakładu podniesie się na wyższy poziom, będzie można określić, w jakim stopniu Wanda jest dzieckiem nadającym się do wychowania i jaki typ zakładu będzie jej najbardziej odpowiadał po zakończeniu kuracji. Obraz zaciemniony jest wydatnie przez poprzednie „metody wychowawcze" stosowane do dziecka.

Wyraźna uczuciowość dziewczynki oraz jej nienajgorszy poziom umysłowy mogą być pomocą w pracy nad nią, a przede wszystkim w doprowadzeniu dziewczynki do pracy nad sobą, do czego wydaje się już ona być częściowo dojrzała".

Po kilku miesiącach nastąpiła nowa zmiana kierowniczki, a co ważniejsze, nareszcie zaangażowana została wychowawczyni „z prawdziwego zdarzenia". Była nią młoda dziewczyna, absolwentka liceum ogólnokształcącego, harcerka, „panna Czesia".

Zakład zaczął zmieniać swoje oblicze.

Dziewczęta podzielone zostały na dwie grupy oraz na małe gromadki — zastępy. Praca ich dla domu zaczęła nabierać sensu, przestała być prostym wykonywaniem zleconych *ad hoc* czynności. Pojawiły się książki i zabawki, kasetki na własne rzeczy i własne drobiazgi dziewczynek. Zajęto się ogródkiem przyzakładowym. Drużyna dziewczęca z Warszawy zainteresowała się zakładem, każda z wychowanek miała już swoją osobistą znajomą w mieście, znajomą, która, umyślnie do niej, przyjeżdżała, która ją brała do siebie do domu (po raz pierwszy dziewczynki znalazły się w prywatnym mieszkaniu), która ją wiozła do Warszawy i pokazywała miasto: domy, ulice, wystawy, kino, sklepy.

Panna Czesia — w odróżnieniu od poprzednich wychowawczyń — serio traktowała swoją pracę, wiele serca i myśli poświęcała wychowankom. Pokój jej, tak w jej obecności, jak i nieobecności, zawsze gościł jedną lub kilka dziewczynek. Z panną Czesią zawsze można było pomówić, pożalić się czy poradzić, omówić swoje wychowanie. Panna Czesia była po prostu dobra.

Zachowanie dziewczynek zmieniło się w ciągu roku zasadniczo. Stały się prawie normalnymi dziećmi, znikła dawna „dzikość".

Zmieniła się także Wanda.

Do zmiany w zachowaniu Wandy przyczynił się ponadto fakt odwiedzenia jej przez matkę (odszukaną przez Zarząd Miejski w ramach akcji poszukiwania rodzin). Matka wprawdzie raz tylko przyjechała do Wandy, ale Wanda przestała być dzięki temu faktowi dzieckiem zupełnie „niczyim". Miała już rodzinę.

„Wpierw to ja nawet nie wiedziałam, że ja mam mamusię, a teraz jestem taka szczęśliwa, że się moja mamusia znalazła! A jak moja mamusia się znalazła, to czego mnie przywiozła: kopytka, mleko, mięso, ciasto, dwa kilo chleba, kredki, notesik i 11 złotych!" Całe jedzenie rozdzieliła Wanda między koleżanki, „tylko sam chleb miałam, pół bochenka". I dalej: „Żeby mnie tak mamusia zabrała! Lepiej by było w domu, bym nigdy się nie stęskniła za mamusią i mamusia za mnie" [1]). (Tęsknota do matki wyraża się zresztą wielokrotnie w wypowiedziach Wandy pośrednio i bezpośrednio).

Zmiana w zachowaniu Wandy, jak w zachowaniu innych dziewcząt, zachodziła powoli. Wreszcie wydarzył się, jedyny w zakładzie, fakt zastosowania przez nową, ukochaną wychowawczynię kary cielesnej... właśnie w stosunku do Wandy, w odpowiedzi na jedną z jej awantur.

Fakt ten wywołał tak silny wstrząs u Wandy, u tej dziewczynki, która przez poprzednie wychowawczynie była wielokrotnie — a bezskutecznie — siniaczona, drapana i ciągana za włosy — że Wanda zaprzestała awantur na wiele miesięcy, aż do końca trwania zakładu, zlikwidowanego w lecie 1944 r. wobec zakończenia kuracji przeciwwenerycznej dziewcząt.

Oto opinia o Wandzie z końca roku szkolnego 1943/44, podana nie przez nową wychowawczynię, lecz przez tę, która pracowała w zakładzie przez cały czas jego istnienia i znała Wandę w różnych jej okresach:

„Dość tęga, niska blondynka.

Inteligentna, zdolna, uczy się dobrze.

Dawniej dziecko bardzo trudne, uparte, obecnie zmieniła się na korzyść.

Towarzyska, lubiana przez dziewczynki, wesoła, rozmowna.

Lubi być pieszczona, chętnie odpłaca uczuciem za uczucie. Nieraz robi wrażenie narzucającej swą obecność, ale mam przypuszczenie, że robi to z potrzeby serca. Łaknie ciepłego uczucia.

Czasem odzywa się w niej dawny upór, ale można jej rzecz wytłumaczyć albo wzruszyć ją, wtedy płacze i upór pryska.

---

[1]) Język Wandy, nieumiejętne używanie przypadków — jest typowy dla dziecka zakładowego.

Bardzo kocha matkę, która się nią prawie wcale nie interesuje".

Panna Czesia dodaje:

„Dziecko bardzo miłe, delikatne. Stara się zrobić wszystko jak najlepiej, nieszczęśliwa, jeżeli jej się coś nie uda.

Do pracy niechętna, ale dość obowiązkowa.

Ulubione zabawy: lalkami, w sklep. Lubi czytać książki i słuchać opowiadań.

Czysta, porządna, z zawsze czystymi rękami. Największa jej chluba — czysty zeszyt.

Dziecko silnie uczuciowe. Bardzo silnie przeżywa np. moment dzielenia się opłatkiem.

Dość żywa".

Przed opuszczeniem zakładu wszystkie jego wychowanki zostały w dwa i pół roku po pierwszym badaniu — przebadane przeze mnie powtórnie. Wydział chciał uzyskać wskazówki, do jakich zakładów powinien skierować dzieci. Poradnia chciała porównać wyniki badań tych samych dziewcząt z okresu przed reformą i po reformie wychowawczej zakładu.

Badanie inteligencji Wandy, przeprowadzone w końcu maja 1944 r., wykazało jak poprzednio, 1. I. 1937 r.—r. Rozwój dość równomierny.

Najgorętsze jej życzenia dotyczą końca wojny i połączenia się z rodzicami (matka wyszła za mąż): „bo tęsknię za rodzicami, każda by chciała do rodziców pojechać, ale nie może, musi być w zakładzie, prawda?"

Wanda stwierdza, że teraz jest w zakładzie dobrze, znacznie lepiej niż dawniej: „teraz jest panna Czesia, bawi się z nami, zbiórki robi z nami, panienki różne do nas przyjeżdżają, goście, wpierw to smutne byłyśmy i śpiewałyśmy wpierw „marnie w tej chałupie", tak sobie siedziałyśmy, smutne byłyśmy, teraz to jest tak wesoło, p. Czesia jest taka wesoła, p. Czesia niektóre dziewczynki zabiera do Warszawy, mamy gimnastyki". Dziewczynki także są teraz grzeczniejsze: „teraz to w ogóle się nie przezywamy, nie dokazujemy tak, jak wpierw, nie bijemy się, nie krzyczymy tak. Wpierw to bawiłyśmy się w panią wychowawczynię: Wikta była wychowawczynią, kazała nam klęczeć, biła nas, a ja nieraz Alinę kładłam na łóżko i biłam tak w żartach, łachotałyśmy się o, jeszcze jak!: jedna leżała na ławce, a my ją tak łachotałyśmy jedna po drugiej, która chciała, to łachotałyśmy, jedna tak trzymała do góry jej ręce, a teraz to już nie".

Zmianę w zachowaniu dziewczynek i swoim tłumaczy Wanda następująco: „Ja raz byłam taka niegrzeczna, to wszystkie dziewczynki się zebrały i powiedziały, że się poprawią, i poprawiły się, bo nam żal p. Czesi, p. Czesia taka dobra“.

W związku z likwidacją zakładu Wanda wyraża pewne dezyderaty: — chciałaby dostać się do zakładu, gdzie są siostry takie, jakie były w pierwszym jej zakładzie, gdzie są małe dzieci, „bo ja nie lubię do zakładu, gdzie są duże dziewczynki, będę się tam bawiła, a duże to wcale nie chcą się bawić, a małe to lubią się bawić“. Chciałaby dalej, żeby zakład był poza miastem, żeby był blisko las, staw i kościół — identycznie, jak w zakładzie obecnym.

Wnioski z tego badania zamieszczone w orzeczeniu Poradni były następujące:

„Wanda jest dzieckiem uczuciowym, o normalnym rozwoju umysłowym. Uczy się chętnie i dobrze.

Psychicznie jest infantylna. Kiedy się z nią rozmawia, odnosi się wrażenie, że się ma przed sobą dziecko 8—9 letnie, a nie panienkę w wieku lat 11 i pół. Wpływ hamujący jej rozwój wywarło wadliwe wychowanie zakładowe, jakiemu podlegała od chwili przyjścia na świat.

Nadwrażliwa, wybuchowa — zdolna jednak do opanowania się pod warunkiem, że znajdzie się w dobrej atmosferze wychowawczej i będzie odczuwała serdeczne zainteresowanie wychowawczyni.

Jeżeli Wanda ma pójść dalej po drodze pracy nad sobą, musi znaleźć się w zakładzie, który jej zapewni maksimum serca i zrozumienia. Poza tym należałoby uwzględnić dezyderaty dziewczynki dotyczące nowego zakładu (które wskazują, że Wanda ma skłonność do trzymania się form znanych, raczej lęka się nowych). Wszystkim tym wymaganiom odpowiada najlepiej zakład w Ignacowie.

Losy Wandy są interesujące, warto śledzić je nadal“.

Wanda została skierowana w myśl tego orzeczenia. Jak można wnosić z pracy nadesłanej w odpowiedzi na wezwanie konkursu — trafnie.

*

Wanda reakcjami swymi przypomina maleńką swoją imienniczkę, niespełna dwuletnią Wandę, wychowankę wielkiego zakładu dla małych, wspomnianą przeze mnie w artykule pt. „Dzieci zakładowe" w n-rze 3—4 naszego pisma z r. 1946. Obie Wandy awanturami starały się zdobyć to, czego pragnęły. Inny sposób osiągnięcia celu w owym zakładzie nie istniał.

Podobny typ przedstawia też Rysiek, opisany przeze mnie w n-rze 9—10 z r. 1947. Jego trudności wychowawcze były również reakcją na wadliwy system wychowawczy. Były to jednak reakcje inne niż obu Wand: cichsze, niemniej jednak uciążliwe i niezrozumiałe dla wychowawców, którzy przeszłości jego nie znali dostatecznie.

W tego rodzaju wypadkach jedynym lekarstwem zdaje się być nawiązanie przez wychowawcę serdecznego, prostego stosunku z wychowankiem, zdobycie jego zaufania. Nie należy obawiać się tego, co dość wyraźnie zaznacza się u opisanej w tym numerze dziewczynki: pewnego „zadurzenia" w wychowawczyni, postępowania prawidłowego ze względu na wychowawczynię, dla jej przyjemności. To jest etap przejściowy. Normalnie chowane dziecko w wieku młodszym przeżywa okres wykonywania poleceń czy przestrzegania zakazów dlatego, że wydaje je ktoś bliski („nie martw mamusi", „to jest brzydko"). Wanda pozbawiona była tych możliwości we właściwym czasie. Stąd poważne opóźnienie w jej rozwoju psychicznym także i w tym punkcie.

Najważniejsze braki w wychowaniu trojga omawianych dzieci dotyczą braku kontaktu społecznego, kontaktu dziecka z dorosłym, który jest podstawą wychowania małego dziecka. Stąd płynie następnie aspołeczność tych dzieci, nieumiejętność kontaktowania, nieumiejętność normalnego domagania się, reagowania na braki i przykrości płynące od innych ludzi, itp. Dlatego uzupełnienie braku osobistego kontaktu dziecka z dorosłym jest drogą do uspołecznienia dziecka, do wdrożenia go w reagowanie normalne na to, co płynie dla niego od innych.

Dlatego, choć bardzo dobrze jest z dziećmi tego rodzaju nawiązać bliski kontakt i zdobyć ich zaufanie i przywiązanie, nie jest dobrze na tym poprzestawać. Wychowawca musi pamiętać, że przyjazny stosunek dziecka do niego to nie cel wychowania, lecz droga do nawiązania przez dziecko przyjaznego stosunku z otoczeniem, do zrozumienia praw rządzących ludźmi i ich postępowaniem, do podporządkowania się tym prawom, uznania ich za swoje. Wychowawca, który by o tym zapomniał, w dalszym ciągu byłby czynnikiem paczącym dziecko, pogłębiającym jego aspołeczny stosunek do ludzi.

Irena Chmieleńska

WYCHOWAWCA

Sześcioletnia Ewa do ojca, kierownika domu dziecka:

„Tatusiu, kiedy ten dom się już skończy?

— Jak to, kiedy się skończy? Nie rozumiem.

— No tak, że już będziemy tylko my: tatuś, mamusia i Jacuś, i babcia, i ja, i więcej nikt.

— No, czemu tak myślisz.

— A tak, bo jak ja wstanę, to już tatusia nie ma, a mama już pracuje, a jak idę spać, to mamusia jeszcze pracuje, a tatusia jeszcze nie ma, a ja już muszę spać“...

(Z nadesłanej przez kolegę Knoche pracy pt. *Obrazki z życia wychowawców*)

Bądź — Wychowawco kochany — dobrych myśli, bądź uśmiechnięty i radosny. Nie trać zapału, gdy po kilkunastogodzinnym dniu pracy wracasz do swego skromnego pokoiku „bez sił“, „zmarnowany“. Dla Ciebie, Wychowawco, praca trwa dzień i noc.

Takie jest już dziecko. Trzeba o nim stale myśleć. Nawet wtedy, gdy zmęczone zabawą i nauką, spoczywa w łóżeczku. Wtedy także musisz czuwać.

Czy pamiętasz, ile to razy musiałeś wstawać w nocy, aby zobaczyć, czy w sypialniach porządek, czy dzieci śpią przykryte? Czy pamiętasz, ile to razy wstawałeś do dzieci, gdy słyszałeś przez ścianę Twego pokoiku kaszel Twych małych pociech w sąsiedniej sypialni?

Wiem, że nieraz ciężko Ci jest i wielką masz ochotę rzucić to wszystko. Nie rzucaj jednak. Twoi mali wychowankowie — dzisiaj może jeszcze nie, ale kiedyś — mówić będą o Tobie jak o matce czy ojcu, którego nie miały, których nie znały może wcale, a których Ty im zastępowałeś.

I dlatego zostań z nami i trwaj w tej ciężkiej, ale najpiękniejszej pracy „tworzenia ludzkich dusz“.

Dziecko oddaje Ci za to skarb swój najdroższy — serce.

(Wyjątek z nadesłanej do Redakcji pracy Kazimierza Czajkowskiego pt. *Dzieci* (Wspomnienia wychowawcy).

„ŁADNE" i „BRZYDKIE"

Rozważanie o tym, co ładne lub brzydkie, zaprowadziłoby nas zbyt daleko, gdybyśmy chcieli brać pod uwagę wszystkie dziedziny życia i sztuki, w których objawia się piękno. Dlatego ograniczymy się do tzw. sztuki stosowanej biorąc przykłady dotyczące przede wszystkiem wnętrza mieszkalnego, ręcznych robót artystycznych i ubrania. Prace artystów, sklepy przemysłu artystycznego oraz wystawy poświęcone sztuce stosowanej pouczają nas, jak wiele zmieniło się w tej dziedzinie w ciągu ostatnich lat.

O tym, co piękne, decyduje obecnie w dużej mierze prostota i taniość materiału z jednoczesnym podkreśleniem, pokazaniem całej jego szlachetności.

Dawne forniery, mahonie zastępuje jasna lub „palona" sosna z widocznymi słojami drzewnymi. Zamiast pluszów i aksamitów widzimy prosty, lecz szlachetny w barwach len. Zamiast wypukłych haftów imitujących do złudzenia róże, jarzębiny i tulipany — proste, lecz przyciągające rytmem oczy, mereżki i hafty ludowe. Kute żelazo jest tworzywem, z którego powstają świeczniki, lampy, ramy do fotografii, popielniczki itp. przedmioty potrzebne we wnętrzu mieszkalnym. Słoma, łyko, służą do wyrobu abażurów, tkanin na ścianę, pasków, korali, guzików, koszyków — podstawek, pantofli itp. Z gliny wypala się ceramikę o charakterze artystycznoludowym, która odznacza się rozmaitością pięknych polew i kształtów i wypiera coraz bardziej bogate, a niegustowne wazony. W pomysłowy sposób wyzyskuje się w sztuce stosowanej drewno, metale, wełnę, skórę itp. i dzięki temu rzemiosło, artystyczne, wymagające doskonałego wykonania i dotknięcia umiejętnej ręki rzemieślnika, przeżywa obecnie swój renesans.

Sztuka stosowana najpełniejszy wyraz znajduje w urządzeniu wnętrza mieszkalnego i dlatego sztuką stosowaną musi się interesować wychowawca, ponieważ dla niego urządzenie otoczenia, w którym wzrasta dziecko, jest problemem wielkiej wagi.

Koszarowy wygląd budynku, czerwona cegła, świecący blaszany dach są czynnikami składającymi się na nędzny wygląd domu dziecka. Podnoszą piękno domu jasno tynkowane ściany, czerwona dachówka, miedziana blacha, zielona winorośl urozmaicająca monotonię murów. Estetyczny wygląd budynku nie zawsze jednak zależy od woli wychowawców w tym stopniu, co piękny wygląd wnętrza. Prostymi środkami, kierując się jednak pewnymi zasadami estetycznymi, można urządzić dzieciom pełne ładu i piękna otoczenie.

Jeżeli więc domy dziecka znajdują się na przykład (co się często zdarza) w starych, zabytkowych budowlach, noszących

piętno gotyku, baroku lub innych stylów, zamiast tuszować, należy te pozostałości jak najbardziej podkreślić, wydobyć na światło dzienne, co od razu postawi wygląd wnętrza na wysokim poziomie estetycznym. Trzeba jednak do tych warunków architektonicznych dostosować inne szczegóły, takie np., jak meble najskromniejsze i najprostsze, ściany, które najsłuszniej byłoby tylko obielić.

Nowoczesne wnętrze domu dziecięcego powinno się odznaczać jasno i gładko malowanymi ścianami (trzeba zerwać z tapetami lub płaszczyznami malowanymi w deseń). Najładniejszą ozdobę ścian stanowią tkaniny z lnu, wełny, słomy, o charakterze ludowym lub inne przedmioty znane tej sztuce, takie np., jak kafle, garnuszki zawieszone na krajkach, obrazy na szkle, drzeworyty. Z drugiej strony najwłaściwszą dekoracją ścian w domu dziecka będą prace samych dzieci, ich rysunki i wycinanki oraz różnorodne pomysłowe ozdoby, dla których dziecko ma tyle zainteresowania. Półeczki na kwiaty i zieleń dopełnią całości. Wystrzegać się tylko należy przeładowania ścian elementami dekoracyjnymi. Na ścianach trzeba wieszać jak najmniej i tylko to, co jest naprawdę ładne. W nowoczesnym domu dziecka rażą staromodne, powiązane wstążką firanki i abażury z frędzlami. Firanki w ogóle nie są konieczne, a jeśli mają być, to najlepsze byłyby krótkie falbanki z przezroczystych tkanin, siatki itp. Prosta kula z mlecznego szkła, abażur z woskowanego papieru, słomy lub kuty żelazny świecznik najwłaściwiej uzupełnią wygląd pokoju lub sali.

Nowoczesne wnętrze wymaga odpowiedniego umeblowania prostego i wygodnego. Proste, surowe ławki i stoły, sosnowe półki (zamiast brzydkich etażerek), taborety, szafki z jasnego drzewa wypierają ciężkie meble wyścielone pluszem, lub ponure paki, szafy, kredensy i ławy, których było pełno w dawnych zakładach wychowawczych. Nie wygląda ładnie ciężka kanapa kryta ordynarnym fabrycznym pluszem (najczęściej okryta krochmalonym pokrowcem) lub wytarty dywan pod stołem. Dywany stare, stylowe meble, porcelana itp. mogą mieć wysoką wartość artystyczną, jeśli wyszły z rąk artystów — rzemieślników. W chwili obecnej jednak muzeum, teatr, sale reprezentacyjne są dla nich lepszym pomieszczeniem niż mieszkanie prywatne, którego wygląd powinien być o tyle prostszy, o ile prostszy i naturalniejszy stał się styl naszego życia.

O przytulnej, domowej atmosferze wnętrza stanowią różne drobiazgi. Największe grzechy przeciwko estetyce w tej dziedzinie to pluszowe serwety, makatki wyszywane świecącym jedwabiem w pretensjonalne wzory, haftowane koralikami, przedstawiające jarzębiny, róże, tulipany, chryzantemy itp.

Równie niegustowne są hafty tzw. *richelieu*, zwłaszcza takie, w których nitka haftu różni się kolorem od tła. Brzydkie i niesmaczne są lalki, cyganki, kolombiny, pieroty itp., poukładane na krzesłach i kanapach; brzydkie poduszki ze strzyżonej wełny, resztek świecących jedwabiów, pomarszczonej satyny itd.

Ładne natomiast mogą być serwetki z kolorowego lub szarego lnu, ozdobione kolorową nitką, wąskim szlaczkiem haftu. Ładne kilimki, chodniki i tkaniny z warsztatu. Ładne lalki ubrane według autentycznych regionalnych strojów. One w zupełności zastąpią plusze i jedwabie, które mogłyby się wydawać szczytem bogactwa i piękna. Bo piękno i bogactwo to dwa różne punkty widzenia, których nie należy nigdy utożsamiać, ponieważ o pięknie decyduje właśnie prostota materiału i środków wykonania.

Ważnym uzupełnieniem wnętrza są obrazy rozwieszone na ścianach. Niestety jest to dziedzina sztuki, którą przeciętny człowiek mało rozumie. Nie stać nas też na ogół na prawdziwie dobre obrazy. A obraz zasługujący na powieszenie musi być tylko albo dziełem prawdziwego artysty, albo dobrą reprodukcją. Od tej zasady odstępować nie wolno i ta zasada dotyczy także obrazów o treści religijnej, które szczególnie powinny być dziełami prawdziwego talentu. Prawdziwą torturą dla estetycznie wyrobionego oka są tzw. oleodruki, reprodukcje drażniące ordynarnością barw i banalnym tematem (rzeka o zachodzie słońca, młyn wśród brzóz, ułan na koniu itp.).

Zawieszenie ścian fotografiami nie jest także objawem dobrego smaku. Odpowiednim miejscem na fotografie jest album, a na ścianie można jedynie powiesić fotografie tzw. artystyczne.

Człowiek wrażliwy na sztukę malarską znajdzie upodobanie w oglądaniu pięknych ilustracji książkowych lub wartościowych reprodukcji pocztówkowych, które tak przyjemnie gromadzić.

Czynnikiem podnoszącym piękno wnętrza mieszkalnego są kwiaty i zieleń. I w tej dziedzinie prostota jest jak najbardziej wskazana. Bukiecik drobnych stokrotek w małym glinianym dzbanuszku, pelargonia w szklance wyglądać może piękniej niż chryzantemy w kryształowym wazonie, które, według słów banalnej piosenki, wyrażają banalny ideał piękna.

Jeden, jedyny kwiat może być równie piękny, jak cały bukiet, a już na pewno wiązanka ściętych kwiatów jest ładniejsza niż złoty koszyk z kwiatami przystrojony w kokardy i bibułki.

Podstawą sztuki wnętrza jest prostota, harmonia, celowość urządzeń. Czystość i porządek, ład są także czynnikami koniecznymi z punktu widzenia zakłócenia owej harmonii: drażnić

będzie ciemny sprzęt w otoczeniu jasnych mebli, złocony „barokowy“ piec przy prostym urządzeniu pokoju, rozmieszczenie na ścianach obrazów na różnych wysokościach.

Podobne zasady obowiązują w dziedzinie robót ręcznych, które mają na celu wypracowanie drobnych przedmiotów potrzebnych człowiekowi i uprzyjemniających mu życie. Pierwsza zasada to dobór właściwego materiału. Unikajmy więc kolorowej bibułki i tzw. krepiny, złoconej gliny, muszelek, fasoli, dykty, pociętych pocztówek, skrawków satyny, jedwabiu, aksamitów, drobnych koralików i piór. Nie są ładne firanki wycięte z bibułki ani kolorowe witraże. Szpetnie wyglądają sztuczne kwiaty bibułkowe, ramki ze złoconej fasoli, ramki wyrzynane piłką. Razi brzydotą obraz wykonany z muszelek, motyl, którego skrzydła stanowią różnorodne skrawki materiałów, pudełko zrobione z pociętych pocztówek obdzierganych kolorową nitką. Te same sztuczne kwiaty, zrobione z kolorowego kartonu, mogą wyglądać pięknie i szlachetnie, gdyż z punktu widzenia piękna karton jest szlachetniejszy niż bibułka. Piękne są wycinanki z kolorowego glansowanego papieru, serwetki z juty i firanki — siatki z lnianego sznurka. Len (płótno, sznurek), papier glansowany, karton, tektura falista, juta, płótno papierowe, wełna, słoma, rafia, sznurek, kora, drewienka, patyczki, pestki i owoce niektórych drzew, drewno, metal i szkło — to tworzywo dla pięknych robót ręcznych.

Druga zasada dotyczy połączenia materiałów. Rażące z estetycznego punktu widzenia są roboty z gliny i bibułki, z papierowego płótna i jedwabiu. Piękne połączenia daje natomiast len i wełna, metal i szkło, juta i drzewo, itp.

Trzecia zasada polega na właściwej proporcji pracy i materiału. Prosty materiał wymaga raczej pomysłowości niż drobiazgowej, żmudnej pracy. O ileż piękniejsza jest prosta mereżka na serwetce z lnu niż „wydziubdziane“ hafty. Ile niepotrzebnej pracy pochłaniają ramki wycinane piłką, zakładki pracowicie wyplatane z kolorowych papierków, koszyczki z rafii, niepotrzebnej, bo nie dającej pięknego efektu.

Czwarta zasada — to zasada celowości. Jedną z najistotniejszych cech stanowiących o pięknie przedmiotu jest jego celowość i dostosowanie materiału do przeznaczenia tego przedmiotu. Dlatego powinniśmy się wystrzegać robót służących ściśle do ozdoby, gdyż to bardzo łatwo może nas zaprowadzić na manowce. Wspomniany wyżej orzeł z muszelek, motyl ze skrawków, krasnoludek pod grzybkiem między innymi dlatego jest brzydki, że nie służy żadnemu celowi. Pudełko z pocztówek postawione w tej samej kategorii rzeczy brzydkich także nie jest celowe, gdyż włożono

w nie mnóstwo pracy, a całość nie jest wcale mocna ani praktyczna, tzn. nie posiada takich zalet, jakich wymagamy od pudełka.

Celową pracą jest serwetka na stolik, zakładka do książek, czapeczka i pasek, lichtarz na świecę, zabawka dla młodszego dziecka, kosz na śmieci, półka na ścianę itd., itd. To są przykłady robót odpowiednich dla dzieci.

Ostatnia wreszcie zasada dotyczy inicjatywy, pomysłowości dziecka. W robotach ręcznych konieczny jest plan, pomysł, według którego coś powstaje. Dwa są główne źródła, z których dziecko powinno czerpać przy tego rodzaju pracach. Pierwsze, najważniejsze — to jego własna pomysłowość i inicjatywa, umiejętnie podsycona przez wychowawcę. Dziecko musi jednak pracować samodzielnie, nie może wzorować się na pracach dorosłych. Trzeba zaufać smakowi dziecka i zdać się na jego sztukę, gdyż właśnie dziecko posiada naturalny dar tworzenia rzeczy artystycznie doskonałych. Dlatego dzieci powinny dużo rysować, lepić, wycinać, majstrować i kombinować.

Kukiełka, lalka, samochód, program, zakładka, wycinanka itp. praca dziecka może stać na bardzo wysokim poziomie estetycznym, jeśli będzie s a m o d z i e l n a.

Drugie źródło kształtujące wzory dla robót ręcznych — to sztuka ludowa, a zwłaszcza ludowe hafty, tkaniny i wycinanki, roboty z metalu i koronki.

Sztuka stosowana obejmuje swoim wpływem jeszcze jedną dziedzinę życia, a mianowicie ubranie. Poczucie ładnego wyglądu stroju dostarcza człowiekowi satysfakcji nie tylko estetycznej — daje mu pewność siebie, swobodę sposobu bycia itp. Doceniając rolę ubrania w życiu dziecka zwalczamy nudę, szablon, stereotypowość i brzydotę ubrań w zakładach wychowawczych. Kolorowy len jako materiał na ubranie, surowa wełna na swetry i rękawiczki, obuwie z rafii, sznurka, drewna, kolorowych taśm, sznurkowe paski, drewniane i skórzane guziki, drewniane paciorki, żelazna lub srebrna biżuteria — to przykłady artystycznych reform w dziedzinie ubrania.

Umiejętność odróżnienia „ładnego“ od „brzydkiego“ jest łatwa i trudna zarazem. Łatwa, bo oparta na zmyśle, na intuicji, na wyczuciu piękna w otoczeniu. Trudna jednak dlatego, że wymaga ciągłego obcowania ze światem rzeczy pięknych, stałej samokontroli, rewizji raz zdobytych poglądów i podnoszenia się na coraz to wyższy poziom.

Maria Parnowska

Umieszczając artykuł „*Ładne*“ i „*brzydkie*“ Redakcja wzywa czytelników do dyskusji na temat wychowania estetycznego związanego z zadaniami i celami wychowania Polski Ludowej.

Redakcja

HIGIENA ŁAZIENKI I USTĘPU

Utrzymanie w czystości pomieszczeń sanitarnych, do których zaliczyć należy łazienki, natryski, ustępy, ma szczególnie ważne znaczenie w większych zbiorowiskach ludzkich, jak szkoły, domy dziecka, internaty, bursy itp.

W trosce o zdrowie dzieci i młodzieży należy pamiętać o tym, że łazienka, a zwłaszcza ustęp źle utrzymany, może grozić nawet niebezpieczeństwem utraty życia. Z doświadczenia wiadomo, że w wielu wypadkach epidemie szerzą się właśnie za pośrednictwem ustępów. Ustępy w miejscowościach nie skanalizowanych, z dala od budynków mieszkalnych, nie zabezpieczone od zimna i wiatrów mogą stać się przyczyną zaziębień u osób mniej odpornych.

Utrzymanie w czystości pomieszczeń sanitarnych jest dużo łatwiejsze w domach, w których są ku temu odpowiednie warunki, to jest urządzenia i instalacje wodociągowo-kanalizacyjne, dobra wentylacja, oświetlenie, łatwe do mycia ściany, drzwi, podłogi. Dużo trudniej i przy większym nakładzie pracy można utrzymać czystość w warunkach prymitywnych.

Dlatego w miarę możności należy dążyć do tego, aby wprowadzać konieczne zmiany i udoskonalenia, odpowiadające podstawowym wymaganiom sanitarnym.

Urządzenia wewnętrzne

Przyjmujemy za zasadę, że łazienki, natryski, ustępy powinny być widne, dobrze przewietrzane i ogrzane.

Podłoga powinna być z materiału nieprzesiąkliwego: terrakotowa, cementowa lub kryta linoleum albo malowana olejno.

W pomieszczeniach z natryskami podłoga powinna mieć spadek do kratek ściekowych. Na podłodze powinny znajdować się żeberka drewniane, które chronią od zimna i zabezpieczają przed pośliznięciem.

Ściany najlepiej, jeżeli są wykładane kafelkami lub pomalowane olejno do wysokości 1,50 m na jasny kolor, by łatwo spostrzec na nich zabrudzenia. (Sufit i ściany przy natryskach powinny być całe pomalowane na olejno). Wanny, umywalnie, zlewy, muszle w ustępach, które przeważnie bywają kamienne, fajansowe lub emaliowane, łatwo utrzymać w czystości. Zlewy, pokryte emalią tylko wewnątrz, praktycznie jest pomalować olejno po stronie zewnętrznej, nie posiadającej emalii.

Utrzymanie w czystości pomieszczeń sanitarnych pociąga za sobą konieczność dobrze funkcjonujących urządzeń wodociągowych. Wody nie należy żałować do utrzymania czystości i porządku,

jednakże uważać należy, by woda się nie marnowała uchodząc przez nieszczelne rury, popsute rezerwuary w ustępach, uszkodzone krany itp.

Równie ważnym czynnikiem jest dolna wentylacja w łazienkach i ustępach nie tylko ze względów zdrowotnych, ale również ze względu na możliwość zawilgocenia budynku. W braku wentylacji naturalnej powinny być stosowane dobrze funkcjonujące urządzenia wentylacyjne, odprowadzające zużyte i zanieczyszczone powietrze oraz parę wodną na zewnątrz.

Utrzymywanie porządku i czystości

Wszystkie pomieszczenia sanitarne wraz z całym ich urządzeniem należy utrzymywać w bezwzględnej czystości. Podłogi, zlewy, muszle w ustępach powinny być codziennie myte gorącą wodą z dodatkiem bielidła lub mydła szarego.

Jako środek dezynfekcyjny w ustępach stosuje się przeważnie 2% roztworu lizolu.

Raz na tydzień basen należy zmyć wodą z dodatkiem kwasu solnego (łyżka kwasu na litr wody). Kwas solny ułatwia również usuwanie plam i zanieczyszczeń zastarzałych. Pamiętać jednak należy o tym, że nadużywanie kwasu solnego, zwłaszcza bardziej stężonego, działa niszcząco na emalię, może również spowodować uszkodzenie rur kanalizacyjnych.

Przynajmniej raz do roku łazienki i ustępy powinny być gruntownie wyremontowane (pozalepiane wszystkie dziury w ścianach podłogach) i odświeżone.

Nawet najlepiej utrzymywane ustępy skanalizowane a służące do użytku zbiorowego posiadać mogą nieprzyjemny zapach i wymagają zastosowania od czasu do czasu środków odkażających. Do tego celu służą: chlorek bielący, roztwór nadmanganianu potasu i inne. Środki te działają również dezynfekująco.

Szczególnie duże trudności nasuwają się przy utrzymaniu w czystości ustępów nie skanalizowanych. Ważna jest w tym wypadku przede wszystkim sprawa dostatecznej ilości miejsc ustępowych. Według przyjętych norm oblicza się jeden ustęp na 20—25 osób.

Budynek, w którym mieszczą się ustępy, powinien być utrzymany w dobrym stanie, posiadać musi cały dach, szczelne ściany, całe podłogi i siedzenia, dopasowane drzwi i dobrze funkcjonujące zamki.

Ściany w ustępach winny być malowane olejno, bielone lub smołowane 2—3 razy w roku. Podłogę i siedzenie należy codziennie zmywać szczotką, gorącą wodą z mydłem szarym lub bielidłem.

Usuwanie nieczystości

W ustępach nie skanalizowanych za zbiornik nieczystości służy przeważnie dół umieszczony pod siedzeniem. Ściany dołu wykonane są zwykle z betonu. Zbiornik powinien być szczelnie zamknięty.

Zawartość dołu przesypuje się torfem, ziemią albo też, zwłaszcza podczas epidemii, dezynfekuje się chlorkiem bielącym, wapnem niegaszonym lub mlekiem wapiennym (na 1 kg wapna niegaszonego 1 litr wody). Doły ustępowe powinny być systematycznie opróżniane.

W każdym ustępie powinien znajdować się papier higieniczny a w ustępach skanalizowanych — napis przypominający o konieczności spuszczenia wody po każdorazowym użyciu ustępu. Należy również pouczyć młodzież, by nie wrzucała do wanny, umywalni, zlewów ścinków materiałów, włosów i innych odpadków, które mogą spowodować zatkanie rur.

Wdrażanie dzieci i młodzieży do współpracy w utrzymaniu czystości i porządku ułatwi nam w dużym stopniu osiągnięcie poziomu higieny pomieszczeń sanitarnych.

Krystyna Radzińska

KOMITET REDAKCYJNY — Irena Chmieleńska, Zofia Woźnicka
Roman Polny

Adres Redakcji: Ministerstwo Oświaty, Warszawa, al. I Armii 25 pok. 256
Adres Administracji: PZWS, Warszawa, pl. Dąbrowskiego 8.

ZAKŁ. GRAF. PAŃSTWOWYCH ZAKŁADÓW WYDAWNICTW SZKOLNYCH BYDGOSZCZ
E-4816914

SPIS TREŚCI

Cena zł 75.—